Nr. 2. Lwów, 15. Października 1885. Rok I.

STRAŻNICA POLSKA

PISMO
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE
wychodzi
dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.
Pojedyńczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem:
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“
na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,**
Lwów, Rynek L. 9.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych jako sąd prasowy orzekł na zasadzie §. 489 i 493 p. k. że treść artykułu umieszczonego w nr. 1 czasopisma *Strażnica polska* z 1. Października 1885 pod napisem **„Słowo o pruskich wydaleniach“ nie zawiera znamiona uczynku ustawie karnej podlegającego — że przeto nie jest usprawiedliwioną zarządzona przez c. k. Prokuratoryę Państwa kon fiskata — skutkiem czego odmawia się dalszemu wnioskowi c. k. Prokuratoryi Państwa względem zarządzenia zniszczenia nakładu i zakazu rozpowszechniania tego artykułu.**

O tem zawiadamia się Redakcyę rzeczonego czasopisma z oznajmieniem, że przeciw temu orzeczeniu wniosła c. k. Prokuratorya Państwa zażalenie do Sądu krajowego wyższego.

Lwów. 4. Października 1885.

Strumieński.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych jako trybunał prasowy orzekł na zasadzie § 489 i 493 p. k., że treść artykułu umieszczonego w drugim nakładzie nr. 1. czasopisma *Strażnica polska* z dnia 1. Października 1885 pod napisem: „Kronika. **„Po żadnej wojnie“ nie zawiera znamion ustawowych zbrodni z §. 66 u. k., że zatem nie jest usprawiedliwioną konfiskata przez c. k. Prokuratoryę Państwa dnia 2. Października 1885 zarządzona i wykonana, skutkiem czego znosi się pomienioną konfiskatę i odmawia się wnioskowi c. k. Prokuratoryi Państwa wzbronienia dalszego rozpowszechnienia tego artykułu i zarządzenia zniszczenia zabranego nakładu.**

O tem zawiadamia się redakcyę z nadmienieniem, że przeciw niniejszemu orzeczeniu wniosła c. k. Prokuratorya Państwa zażalenie do c. k. Sądu krajowego wyższego.

Lwów, 6. Października 1885.

Strumieński.

Przegląd polityczny.

Sprawa rewolucyjna w Rumelii napręża nieustannie ciekawość, mianowicie tych, którym ruch polityczny europejski nie jest obojętny. Wszystkie inne wypadki tracą wobec tego ruchu na znaczeniu i ustępują na tylne plany. Dziś prawdziwe dziennikarstwo niezależne przyszło do tego przekonania, że książę Aleksander bułgarski, jeżeli nie miał wyraźnego pozwolenia w kieszeni od mocarstw, które podpisały traktat berliński, to był przekonany o życzliwości ich dla siebie i cichem tolerowaniu tego co uczyni. Bez tej pewności nie byłby polecił drukowania proklamacyi, którą ogłaszając, przyjął od ludu ofiarowany mu tytuł księcia północnej i południowej Bułgaryi. Faktem zaś jest, że proklamacya ta była przygotowaną przed wybuchem rewulucyjnym.

Urzędowe dziennikarstwo twierdzi, że ani w Skierniewicach, ani też w Kromieryżu nie było mowy, że książę Aleksander chce działać na własną rękę i że gabinety europejskie wieściami Sofii i Filipopola zostały zdumione. Otóż i tym oświadczeniom chcielibyśmy uwierzyć, ale nam się nastręcza tylko jedna uwaga: Jak wiadomo powszechnie, we wszystkich miastach Bułgaryi i w Wschodniej Rumelii, rezyduje mnóstwo konsulów i w żaden sposób nie można przypuścić, aby oni wszyscy zbiorowo tak mało się zajmowali obowiązkami, powierzonymi im przez ich domy, że nawet na 24 godzin przedtem o niczem nie wiedzieli. Za niedbałość taką, wątpimy, aby ich nie pociągnięto do odpowiedzialności. Dotychczas jednakowoż nic o żadnej zmianie nie słychać.

Niejasność ta usunie się zapewne wkrótce sama przez się, z chwilą, oznaczoną naprzód na programie sceneryi. Bo jeżeli książę Aleksander bułgarski działał na własną rękę, bez zezwolenia tych i zapytania się, którzy go zrobili tem czem był dotychczas, jeżeli politykował podług własnego widzimisię, a tem samem zachwiał spokój całej jednej części świata, to tem samem dowiódł, że nie dorósł stanowisku, na jakiem go postawiono i winien ustąpić z tronu, aby na jego miejscu zasiadła osobistość, która da lepszą gwarancyę, że się do takich niebezpiecznych eksperymentów nie posunie, Turcyi zaś dozwoli zrewoltowaną prowincyę wprowadzić na drogę porządku.

Tak uczynić wskazywałoby prawo i takby postąpiono niezawodnie, gdyby państwem dotkniętem tą rewolucyą nie była Turcya, wobec której nigdy się nie powodowano szczególną skrupulatnością pod względem dotrzymania zawartych z nią traktatów.

Widzieliśmy, jak Turcya w ostatnim okresie swego żywota traciła piękną prowincyę lub wyspę jednę po drugiej, za które to straty dawano porękę utrzymania pierwotnych posiadłości. Te poręczenia tak się często powtarzają, iż w krótce spodziewać się należy, że nic więcej do zagwarantowania nie pozostanie, jak tylko pierwotne gniazdo, z którego wyszła monarchia Osmańska — stary zamek w Russie.

Jeżeli ktoś ma powody jakiejkolwiek życzliwości dla Turcyi, to musi uczuć obawę wobec wieści i przypuszczeń, że Turcya pchnie swe wojska do Wschodniej Rumelii, któryto krok będzie dla pewnych potęg, mianowicie dla Rosyi pożądanym, aby dążyć na pomoc — „uciśnionym braciom“.

Serbia i Grecya nietylko, że się mobilizują, ale zbroją — jak to mówią — po same zęby; tego samego można się spodziewać każdej godziny w Rumunii i Czarnogórze. Zastanowiwszy się bliżej nad wypadkami, które się obecnie na południe od Bałkanu odgrywają, to mimowoli przypomina się rok 1875. Wtenczas podniosły się Bosnia i Hercogowina, które usiłowały zrzucić znienawidzone jarzmo. Ochotnicy z Serbii i Czarnogóry przybywali masami, aby dopomódz braciom. Pojedyncze państewka mobilizowały także swoje armie i wysyłały za ochotnikami swe wojska. Gdy jednak sprawa nie kończyła się tak, jak sobie pewne potęgi życzyły, ruszyły rosyjskie bataliony na Bałkan — i pasztet był gotowy. Przyszło do rosyjsko-tureckiej wojny, która się zakończyła osławionym pokojem w San-Stefano, ale tylko tymczasowym i gdyby się nie było udało w ostatniej godzinie zażegnać burzy na konferencyi berlińskiej, to wojna na wielkie rozmiary byłaby niezawodnym skutkiem tego zawartego pokoju.

Otóż i dziś podniosła się znowu jedna prowincya przeciw Turcyi, zrzuciła z siebie jej panowanie, i to w chwili, gdy w Albanii wybuchło na nowo powstanie, w Macedonii zaś oczekują takowego każdej godziny.

Państwa na półwyspie Bałkańskim zaczynają się zbroić. Z Rosyi nadchodzą wiadomości o skład-

Zapiski kronikarskie.

(Mnóstwo emocyj i łechtania nerwów we Lwowie. — Niezadowolenie p. dra Madejskiego w Radzie państwa z Temidy galicyjskiej. — Wiec kupców galicyjskich. — Mierzwiński! Władysław Mierzwiński! król tenorów Mierzwiński! — Zaświstał i trafił w sedno, oraz o wyższości gimnastyki lwowskiej. — „Ne chody Hryciu na weczernyciu“. Rozczulenie pewnego mistrza. — Mierzwiński, większy cudotwórca od rabina w Sadogórze. — Toast na cześć największej zasługi Polaka. — Anegdotka. — Senzacya pomiędzy wyborcami lwowskimi, którzy posłali p. dra Lewakowskiego do Rady państwa.)

Aczkolwiek wielu śmiertelników nie jest zadowolonych z „charakteru” ruchu społecznego naszej stolicy nadpełtwiańskiej, to jednakowoż pessymiści ci muszą przyznać, iż pomimo wielu mankamentów, nie daje się przynajmniej czuć braku emocyi pod względem rozmaitych wrażeń, które krew w żywszy obieg wprawiają. Pod tym względem nie ustępuje Lwów nawet rzeczywistym wielkim stolicom; bo jeżeli na własnym bruku daje się uczuć chwilowa cisza, to poczucie łączności bratniej z prowincyi zasila czem chata bogata. Na każdy wypadek utrzymać można równowagę wrażeń codziennych, czerpiąc materyał chociażby li tylko z naszej kryminalistyki, lub odsłaniając obrazki żywota autonomicznego po miastach, miasteczkach i gminach. Na punkcie tym są Lwów i Galicya niewyczerpane i zaczynają rzeczywiście konkurować z najpierwszemi stolicami i krajami. Zdaje się, że nie popełnimy występku przeciw poglądom c. k. Prokuratoryi Państwa, jeżeli zwrócimy uwagę, że nasza kryminalistyka ma coraz częściej do czynienia z kapłanami Temidy, jeżeli w Galicyi staje się już prawie chlebem powszednim, gdy się coraz częściej widzi śmiertelnika, który składał przysięgę, że będzie wiernym stróżem sprawiedliwości i strzedz będzie jak oka w głowie paragrafów ustawowych, a sam bywa pociągany do odpowiedzialności przed kratki kryminalne przez c. k. Prokuratoryę Państwa. Wprawdzie najczęściej wychodzi uniewinniony i czysty jak gołąbek i pokazuje się, że padł ofiarą niecnego oszczerstwa. Bądź co bądź jednak, nasz populus galicyjski dosnuwa sobie innych piosnek w myśli. Ale gdyby to tylko „populus“, czyli „plebs“ — ulica. Kiedy nawet tacy wybrańcy, jak delegat do Rady państwa w Wiedniu p. dr. Madejski należy do tych podejrzliwych i stawia wnioski, aby maszyna sądowa i prawna w Galicyi była koniecznie rekonstruowaną. Niechże świetna c. k. Prokuratorya Państwa nie gorszy się zbytecznie tem, jeżeli jaki zwykły śmiertelnik z okolic Buska, Peczeniżyna lub Delatyna objawi także swoje nieukontentowanie.

Pewną emocyę sprawił także we Lwowie zjazd kupców chrześcijańskich, który jak Timesy lwowskie donosiły, był nader liczny i aż kilkudziesięciu reprezentantów naszego „Merkura“ galicyjskiego zawitało do Lwowa. Ale dogódź tu wszystkim i zechciej zyskać uznanie. Oto w te tropy, gdy się ukończyło w sali ratuszowej powitanie szanownych gości i gdy ich p. Trzemeski w podwórzu ratuszowem odfotografował, zaczęto roznosić po mieście plotki, że prawdziwych kupców należy na tym zjeździe szukać z latarnią w dzień biały i że nie biorą udziału powagi. A to fałsz wierutny, bo widzieliśmy zaraz na pierwszym wspólnym obiedzie w kasynie miejskiem, prawdziwego, nieladajakiego przedstawiciela kupiectwa galicyjskiego. Warto było spojrzeć na poważną postać o sumiastych wąsach i gęstej brodzie, marsowych brwiach, przybraną w wspaniały kontusz, pas złotolity, kołpak z kitą i karabelę świetną. Naturalnie, że gospodarze posadzili go na pierwszem honorowem miejscu za stołem. Wprawdzie niebawem po zjeździe, którego osobnik ów był ozdobą, doniósł *Kurjer lwowski* w korespondencyi z Sokala, że ów reprezentant zanim przyjechał na zjazd lwowski, już wszedł w bardzo niemiłą kolizyę z c. k. Prokuratoryą Państwa, a maluczko ujrzymy go na ławie oskarżonych o przeoczenie bardzo niełądnego paragrafu. No i cóż z tego? Przecież jeszcze nie poszedł do Iwanowej chaty; a że przyjechał na zjazd, to tylko dowiódł, że posiada niezwykły zasób cywilnej odwagi.

Przedstawił się także drugi reprezentant jakoby kupiectwa i handlu krakowskiego. Nie posiada on tam wprawdzie pod Wawelem ani najskromniejszej grajzlerni, bo w rzeczywistości jest tylko komisantem jakiejś wrzekomo zagranicznej firmy win i spirytualiow. Cóż to jednak szkodziło komu, że kupcy krakowscy powierzyli mu mandat reprezentowania ich w Lwigrodzie.

Jeżeli jednak brakło przedstawicieli handlu z prowincyi, to dostarczył znakomitości w tym zawodzie sam Lwów, n. p. w p. Drze Roszkowskim i w p. Romualdzie Starklu, którzy jak nam mówiono, byli najżywotniejszymi czynnikami w pracach sekcyj kupieckich. Jeżeli więc taka w y s o k a i n t e l i g e n c y a raczyła brać udział w sprawach naszego handlu, to cóż więcej po nim można było żądać. Jeszcze jedna uwaga nastręczyła nam się, a mianowicie, że nasze kupiectwo lwowskie dawało

kach na rzecz powstałych Rumeliotów, a aczkolwiek donoszą dzienniki petersburgskie o zakazie udawania się oficerów rossyjskich do Rumelii, dochodzą prawie codziennie wieści, o nieustającym napływie takich rosyjskich ochotników, który gotów wkrótce stać się silniejszym w niesieniu pomocy uciśnionym braciom, aniżeli wrzekoma wola cara. Stało się więc wszystko, co się stać mogło dotąd, do utorowania drogi, aby Rossya zbawicielka Słowian, pchnęła swą armię do Turcyi, w celu „szerzenia kultury“.

Wobec takich okoliczności, należałoby działać szybko, jeżeli rzeczywiście jest zamiar i wola powstrzymania wielkiego pożaru europejskiego. Jeżeli dziennikarstwo urzędowe ma słuszność, jakoby wielkie mocarstwa nie brały udziału w tem, co się dzieje w Rumelii wschodniej, to obowiązkiem ich jest powstrzymać zapały państewek na półwyspie Bałkańskim, aby te siedziały cicho i nie wywoływały niebezpieczeństwa. Obowiązkiem Turcyi być powinno jak najprędzej powstanie uśmierzyć i wnijść znowu w swe prawa. Jeżeli się to stanie prędzej zanim inne kraiki europejskiej Turcyi będą miały czas do inscenowania rewolucyi, to niebezpieczeństwo byłoby tymczasem zażegnane. A byłoby rzeczą konferencyi mocarstw, wysłuchać zażaleń Rumeliotów, w ostatecznym zaś razie poddać rewizyi traktat berliński.

O tem wszystkiem jednakowoż ani słychu; przeciwnie, w urzędowych głosach prasy czuć się daje widoczny zwrot; wprawdzie potępia się jeszcze krok, uczyniony przez księcia Bułgaryi, ostrzega się Turcyę przed zbrojnem wystąpieniem, pomimo bardzo jasnego traktatatu berlińskiego, uradzonego przez mocarstwa, przyjętego i podpisanego. Traktat ten poszarpała w kawałki garstka powstańców rumelijskich, a wszystkie wielkie mocarstwa Europy przypatrują się temu faktowi z dziwnym spokojem, a niektóre objawiają wyraźnie ochotę przytrzymania rąk Turcyi, która opierając się na tylokrotnych przyrzeczeniach nienaruszalności jej posiadłości, chce takowych bronić.

Nie dziw więc, że uwaga wszystkich myślących ludzi jest wysoce naprężoną, oczekując tego co nastąpi.

Uzupełniające wybory do Sejmu i znowu p. Dr. Filip Zucker.

W *Kurjerze Lwowskim* w Nrze 279 z dnia 9. Października r. b. w rubryce „Listy z kraju“, czytamy następującą korespondencyę:

„„Brody 7. Października. *(Wybory poselskie)*. Rezolucya uchwalona w niedzielę opiewa dosłownie po niemiecku, bo u nas wszystko jeszcze po niemiecku:

„Die am 4. October 1885 versammelte Wählerversammlung zum Zwecke der Wahl eines Ladtags-Abgeordneten spricht den Wuusch aus, dass das am heutigen Abende zu wählende städtische Commité sich mit einer Delegation der Handelskammer zu dem Zwecke in Verbindung setze, damit der frühere Abgeordnete in den Ladntag Dr. Filip Zucker von Seite der Handelskammer gewählt werde, in welchem Falle die Stadt den Herrn Otto Hausner in den Landtag wählt“

Oto autentyczny tekst przyjętego wniosku Dr. Goldhabera. (Jesteśmy za wyborem Dr. Filipa Zuckra, którego brak w Sejmie czuć się daje bardzo, ale żeby od jego wyboru czynić zawisłym wybór p. Hausnera, to uważamy za niestosowność, która się mogła zdarzyć tylko w Brodach. Red).““

Przekonani jesteśmy, że mało jest w kraju obywateli, którym nie są znane dzieje, a mianowicie pewne nader ciekawe sprawy, dotyczące wyborów do Rady państwa i Sejmu krajowego, oraz niektórych pp. delegatów i posłów na Sejm. Wątpimy zresztą stanowczo, aby smutna sprawa „S c h w e i g g e l d ó w“ miała się już ulotnić z pamięci obywateli wyborców. Tak samo śmiemy wątpić, aby wyborcy i wszyscy uczciwi i zacni obywatele kraju zechcieli wprowadzać na arenę publiczną ludzi, którzy sobie w tej sprawie powalali ręce. Jeżeli kiedy, to dziś potrzeba nam rąk c z y s t y c h, n i e p o k a l a n y c h, obywateli takich, aby mogli być wybierani na przedstawicieli kraju. Że w Brodach mogła się zorganizować na nowo klika, której jedynym celem — robienie „geszeftów“ bez względu na ich wartość i naturę moralną, temu się bynajmniej nie dziwimy, bo klika ta pozostanie na zawsze taką jak była. Cywilna odwaga jej jest zaiste wielką; bo gdy w całym kraju umiano uszanować język polski i bronić jego praw, klika brodzka puszcza to mimo uszów, drwi sobie z całego kraju i poczucia tegoż obywatelskiego, gdy nawet dla ogłoszeń wyborczych niema innego języka jak niemiecki. Dla tej kliki naturalnie jest najwłaściwszym i najdogodniejszym kandydatem Dr. F i l i p Z u c k e r, znany pośrednik p. Dr. Arnolda Rappaporta i Länderbanku w rozdawaniu „Schweiggeldów“ dziennikarzom lwowskim.

Jak się u nas szybko czasy zmieniają, a jak jeszcze szybciej puszczamy w niepamięć co było, dowodem tego najlepszym redakcya *Kuryera Lwowskiego* z p. Henrykiem Rewakowiczem na czele, jako szefem redaktorem, z tym samym p. Henrykiem Rewakowiczem, który niedawno temu w sali ratuszowej we Lwowie z tak wielkiem powodzeniem odgrywał rolę Katona narodowego. Jeżeli kto, to p. Henryk Rewakowicz pamięta i zna dobrze, jaką rolę odgrywał p. Dr. Filip Zucker, jako pośrednik Länderbanku w sprawie rozdawania „Schweiggeldów“.

Zaiste trzeba mieć cywilną odwagę p. Henryka Rewakowicza, aby w y d r u k o w a ć w *Kurjerze Lwowskim*: „J e s t e ś m y z a w y b o r e m Dra F i l i p a Z u c k r a, k t ó r e g o b r a k w S e j m i e c z u ć s i ę d a j e b a r d z o“.

Biedna Galicyo! jeżeli już nie masz innych kandydatów na twych przedstawicieli, jak tylko pokątnych adwokatów i to w dodatku z brudnemi rękami!

Panie Henryku Rewakowiczu, naczelny i odpowiedzialny redaktorze *Kurjera lwowskiego!* Czy cię rzeczywiście już tak silnie ujęli w kleszcze twoi panowie współpracownicy, czyli jak vox populi twierdzi, kontrolerzy redakcyjni, Zygmunt F r ü h l i n g i I n l ä n d e r, że zmuszony jesteś śpiewać piosnkę na melodyę, podług pozytywki, jaką ci kręcą w redakcyi?

Panie Henryku, porównaj twoje wystąpienie w sali ratuszowej z dopiskiem, pod korespondencyą z Brodów. Zaiste, szkoda cię, a mówimy to szczerze i z głębi serca. Czybyś już rzeczywiście nie miał sił i woli do zerwania tych wstrętnych każdemu pętów? Byłoby to smutnem, bardzo smutnem!

To co piszemy, nie wychodzi od nas samych, ale od licznego grona zacnych i dobrze ci życzących obywateli, którzy nie byli i nie są anti-semitami, umią uszanować każde wyznanie wiary, nie będą i nie są przeciwni równouprawnieniu, ale na przedstawicieli swoich w sejmie, w Radzie państwa i na wszystkich publicznych stanowiskach żądają ludzi z czystemi rękami przynajmniej.

P. dr. F i l i p Z u c k e r nie uważał dotąd za właściwe oczyścić się z nader dotkliwych zarzutów, czynionych mu publicznie, a jeżeli tego nie uczynił i lekceważył sobie opinię publiczną kraju, to niechże się dzisiaj nie pcha i narzuca.

O ile nam wiadomo, to i w Brodach znajduje się bardzo wielu obywateli mojżeszowego wyznania, którzy zdanie nasze podzielają, bo mieli już raz tę cywilną odwagę, iż pomimo największej presyi ze strony swych współwyznawców, kandydaturę p. dra Filipa Zuckra odrzucili tak, jak na to zasługiwała.

Przekonani też jesteśmy, że i tym razem tak sobie postąpią i nie połączą się z tymi, którzy postawili za warunek, że wtenczas będą głosowali na p. Ottona Hausnera, jeżeli z Izby handlowej wnijdzie do sejmu p. Dr. Filip Zucker. Jestto cynizm, dla którego naj drastyczniejsza nazwa byłaby jeszcze za szlachetną.

C. k. szkoła dla przemysłu artytycznego przy miejskiem muzeum we Lwowie.

W niedzielę dnia 11. b. m. odnieśliśmy nader miłe i pocieszające ducha wrażenie w sali ratuszowej, gdzie wystawione były prace tejże szkoły z ubiegłego roku, a następnie odbyło się premiowanie uczniów.

Uroczystości tej przewodniczył prezydent miasta p. Wacław Dąbrowski. Z Rady miasta zauważyliśmy pp. Heppego, Stanisława Niemczynowskiego i zaledwie jeszcze dwóch czy trzech innych. Dalej byli obecni pp. profesorowie: Julian Zacharjewicz i Dr. Zajączkowski Władysław. Oprócz tych był jeszcze chociaż nie wielki zastęp w stosunku do ilości, inteligencyi miasta. Nie widzieliśmy żadnego reprentanta Wydziału krajowego.

Pp. przemysłowców i rękodzielników można było na palcach policzyć. Był to albowiem czas śniadaniowy, a w niedzielę świeże flaczki, a więc byli widocznie „p r z e s z k o d z e n i“. Natomiast nader miłe czyniła sala wrażenie, bo była zapełniona mnóstwem młodzieży rękodzielniczej, której uszlachetniający duch postępu i zapał do pracy i oświaty, pałały z oczu. Ten liczny zastęp przedstawiał się tak inteligentnie, nawet pod względem zewnętrznych form, iż mimowoli nasuwał myśl porównawczą, jak to było przed 10ciu jeszcze laty, a jak jest dziś. Wiele nam wprawdzie brakuje, ale gdy przed oczami stawa już taka silna legia młodzieży pracującej i dążącej do oświaty, to w Bogu nadzieja, że przyszłość będzie lepsza. Lecz nie tylko młodzież męska się tu dziś zebrała; bo jeszcze większą radość sprawił nam widok licznego również zastępu dziewic Polek i Rusinek, kształcących się w szkole artystyczno- przemysłowej. Oto nowy dowód, że kobiety u nas zaczynają się również poważnie zapatrywać i szlachetną pracą po-

---

wielki przykład kolegom z prowincyi, iż gdy się chce dokonać wielkich czynów, to należy przedewszystkiem milczeć i mało mówić, albowiem wszelka wzajemna wymiana myśli, chociażby dotycząca najżywotniejszych spraw, jest tylko niepotrzebnem gadulstwem, a nawet kompromitującem tych znakomitych mężów, którym myślenie i mowa nastręczają pewne trudności. Zresztą bez wielomówstwa, a nawet nic nie mówiąc, można wiele dokazać dobrze zastósowaną mimiką i wzajemną intuicyą.

Najlepiej udowodnili nasi kupcy wiecowi w praktyce ten nowy objaw politycznej działalności. Oto gdy przybyli wprost z ratusza do kasyna miejskiego na wspólny obiad, na który należało czekać jeszcze blisko godzinę, pamiętając o przysłowiu: „Czas to złoto“ — postanowili też nie tracić ani jednej chwili, stając do szermierki w gęstym szeregu, przy obydwóch bilardach, i obsadzając aż pięć zielonych stolików z odpowiedniemi galeryami „kibiców“. Ktoś z zamiejscowych gości, widząc tak gromadnie zasiadających do pracy kolegów ze stolicy, a niespostrzegłszy na razie rozłożonych na zielonem suknie „obrazków“, zapytał się sąsiada, nad którym numerem programu zjazdowego zasiadają do obrad. Otrzymał odpowiedź:

— „To tylko wstęp i zagajenie do posiedzeń sekcyjnych“. — Inny znowu, wrzekomo kupiec z prowincyi, czuł się tem wielce zgorszony, gdy się dowiedział, że za stołem przy pierwszym wspólnym obiedzie, zasiadło więcej przemysłowców i rękodzielników, aniżeli kupców, i chciał na seryo wnieść swoje veto przeciwko takiej, ubliżającej godności kupieckiej, inwazyi. Powstrzymany jednak został wcześnie przez sąsiada, który go objaśnił, że tu należy zachować decorum równouprawnienia, mianowicie, gdy są gazetnicy. Pomimo to, gdy p. Ihnatowicz nie szczędził wody lwowskiej, aby pachniało, a p. Piotr Miączyński kierował oświeceniem, „z j a z d o d b y ł s i ę ś w i e t n i e“. Szkoda tylko, że ku wiecznej pamięci nie uchwalono wmurowania tablicy pamiątkowej, która obok starożytnego szyldu „S p ó j n i“, na płocie przed pałacem p. protomedyka Biesiadeckiego umieszczonego (przedtem pałac Ulanieckich), świadczyłaby przyszłym pokoleniom od funta, łokcia i kwaterki (przepraszamy, od kilograma, metra i litra) o wielkiem poświęceniu obywatelskiem ich przodków.

Zaledwie pp. kupcy rozjechali się utrudzeni do domów, i niejeden rozmyślał, jak go tam przyjmie magnifika i jak się wykręcić sianem przy zdaniu jej rachunków, zainaugurowaną została na bruku lwowskim nowa emocya, która tym razem zepchnęła z pozycyi Koło polskie w Wiedniu, wydalania pruskie i wszelkie najżywotniejsze sprawy. Jak mgła rozwiała się żałoba po całym szeregu dobrze zasłużonych mężów, których co tylko odprowadzaliśmy do grobu, okrywając mogiły wieńcami, a nawet o targu zbożowym, o spadku cen zboża i chmielu przestano mówić, gdyż w obrębie rogatek lwowskich zabrzmiało tylko jedno hasło: — **„Mierzwiński! Władysław Mierzwiński! król tenorów Mierzwiński!“**

Oto emocya nad emocyami i łechtanie ducha i nerwów aż do potęgi. Odezwy do narodu, wydawane przez króla Jana lwowskiego i „Altessę“, regentkę, Celinę Iszą, n. p. „Biletów nabyć można dla zamiejscowych do dnia 12. b. m., a tuż po tem rozchodzi się wieść złowroga: „Bilety już rozsprzedane.“

— „To zdrada, to okropność“ — krzyczą lwy, lwiątka i lwice dnia, „hajże na Soplicę, na Jańcia!“ odzywają się już głosy, a z oczów tryskają złowrogie ich błyskawiczne spojrzenia, i gdyby nie sąsiedztwo nader bliskie c. k. Policyi z kasą teatralną, to kto wie, do jakiej rewolucyi mogłoby przyjść we Lwowie.

Dzień przyjazdu króla tenorów naznaczony był oficyalnie na środę po południu, o godzinie 4tej. I na tę godzię miała wyruszyć nasza „harmiderya“ w ułańskich mundurach, a na jej czele reprezentanci koła literackiego z całym aparatem improwizującym, dziennikarzami, literatami, wielkimi geniuszami muzykalnymi, instrumentalnymi i wokalnymi. Naturalnie i z p. Zygmuntem Fryling-Frühlingem. Nadworny dekorator koła literackiego głosił orbi et urbi o tych przygotowaniach. Na wałach, po cukierniach i kawiarniach przy ulicy Karola Ludwika oczekiwało mnóstwo emocyowanych obojga płci (ta ostatnia była w znacznej większości) wjazdu króla tenorów, gdy natomiast pędzi „einszpener“, a w nim siedzi w tragicznej pozie z piorunującym wzrokiem herold koła literacko-artystycznego i woła: — „Jańcio zdrajca!“ — a echo echu podaje te straszne słowa, łamiąc się od ro-

mnażać te zastępy, na których nam dotąd tak zbywało.

Patrząc na tę legię obojga płci, mimowoli budzi się wiara, że lepsza przyszłość leży w rękach tego pokolenia. Cześć im więc, i z całej duszy „Szczęść Boże!“

Wystawa tegoroczna prac dokonanych na polu nauki przemysłu artystycznego, przedstawia niczem nie dający się zaprzeczyć postęp. Rok przeszły był zadowalniający. Obecne wyniki przewyższają go jednak znacznie.

Zanim jednak przystąpimy do szczegółowego opisu, obowiązkiem naszym objaśnić nieświadomych z głownym celem tej szkoły, który tu według słów sprawozdania podajemy.

„Celem tej szkoły jest, dać rękodzielnikom sposobność wyuczenia się rysunków i modelowania, tak niezbędnie w ich zawodzie potrzebnych, a w dalszym rzędzie dać tę sposobność także młodzieży innych zawodów, mianowicie słuchaczom wszechnicy, uczniom gimnazyalnym i t. p., którzyby pragnęli uczyć się rysunków i modelowania bądź jako przedmiotu uzupełniającego ich studya, bądź też celem przygotowania się do wyższych szkół artystycznych. To, co powyżej powiedziano o uczniach odnosi się także do uczenic, a w szczególności do nauczycielek szkół elementarnych i wydziałowych, tudzież szkół zawodowych ręcznych robót kobiecych.“

Obok praktyki warstatowej, pobierają tu uczniowie naukę: języka polskiego, niemieckiego i korespondencyi przemysłowej, geometryi, arytmetyki, rachunków i prowadzenia ksiąg przemysłowych, rysunków odręcznych i geometrycznych, modelowania, oraz naukę o własnościach drzewa, przyczem obznajamia się ich z narzędziami, z różnemi sposobami obrabiania drzewa i wykończenia roboty, słowem z całą techniką rękodzieła stolaskiego i tokarskiego z zastosowaniem do potrzeb snycerstwa.

C. k. Szkoła dla przemysłu artystycznego we Lwowie zostaje pod bezpośrednim zarządem kierownika, p. Wincentego Tschirschnitza. Nauk w niej udzielają:

Kierownik i nauczyciel Wincenty Tschirschnitz (rysunki odręczne i geometryczne). Nauczyciele: Tadeusz Wiśniowiecki (modelowanie), Juliusz Bełtowski (snycerstwo dekoracyjne), Władysław Kłapkowski (rysunki odręczne, arytmetyka, geometrya, rachunki przemysłowe i prowadzenie ksiąg), Marceli Białobrzeski (język polski, niemiecki i korespodencya przemysłowa). Zarządca warstatu Franciszek Bełtowski (nauka stolarstwa i tokarstwa w zastosowaniu do snycerstwa).

W r. 1884|5 uczęszczało do szkoły artystyczno-przemysłowej, rękodzielników 75, wychowańców zakładu głuchoniemych 36, uczniów szkół gimnazyalnych i realnych 21, bez wyraźnie obranego zawodu 2, słuchaczów wszechnicy 2, nauczycieli i praktykantów nauczycielskich 4, nauczycielek i praktykantek nauczycielskich 36, uczennic 61, razem 237.

W r. 1884|5 uczęszczali na rysunki uczniowie następujących zawodów: stolarzy 30, snycerzy 21, kamieniarz 1, rzeźbiarzy 2, murarz 1, cieśla 1, malarz pokoi 1, dekorator 1, litografów 4, drukarz 1, pozłotników 2, mosiężników 3, ślusarzy 3, garncarz 1, piekarz 1, szewców 2, razem 75 uczniów.

Opłata szkolna t. j. czesne, na kursie rysunków i modelowania, jako też i snycerstwa wynosi rocznie 5 zł.

Stowarzyszenia czeladzi rękodzielniczej „Skała“ i „Gwiazda“, dalej zakład głuchoniemych, płacą na podstawie rozp. Wysokiego c. k. Prezydyum Namiestnictwa z dnia 3. października 1878 r. l. 7.269 od ucznia zniżone czesne 2 zł. na rok.

Wysokie c. k. Prezydyum Namiestnictwa uwolniło rozporządzeniem z dnia 2. lipca 1885, l. 6474|pr., 61 uczniów i ucznennic od opłaty czesnego.

Do c. k. kasy głównej krajowej wpłynęło za rok szkolny 1884|5 z opłat uczniów 577 zł. w a.

Na wniosek dyrekcyi, reskryptem z dnia 24. sierpnia 1885, l. 14.790 przyzwolił JE. pan Minister wyznań i oświaty, aby Michałowi Wasylinie stolarzowi, za pilność i gorliwość udzielono pierwszą nagrodę rządową w kwocie 50 zł., oraz Andrzejowi Kilianowi, stolaızowi, drugą nagrodę rządową w kwocie 50 zł.

Z pośród innych uczniów i uczenic Szkoły w ostatnim roku celowali pilnością i zamiłowaniem niżej wymienieni, którzy też zasłużyli sobi na wymierzone dalej nagrody, lub na publiczne wyszczególnienie:

Przyznano nagrodę Muzeum przem. miejskiego w kwocie 30 złr. Józefowi Cieśli, stolarzowı; nagrodę Izby handlowej i przemysłowej lwowskiej w kwocie 30 złr. Augustowi Boguchwalskiemu, dekoratorowi; trzy nagrody gminy miasta Lwowa każda w kwocie 20 złr. Ludwikowi Tyrowiczowi, snycerzowi, Tadeuszowi Mańkowskiemu rzeźbiarzowi i Kazimierzowi Wajdowskiemu, mosiężnikowi.

Dalej na wyszczególnienie publiczne zasłużyli: Romańczuk Tytus, uczeń gimnazyalny; Dzbański Lubin; Aleksandrowicz Zdzisław, uczeń szkoły realnej; Rucker Jan, słuchacz filozofii; Staśkiewicz Jan, uczeń gimnazyalny; Cavanna Jan, uczeń gimnazyalny; Rabner Daniel, uczeń gimnazyalny; Sadłowski Władysław, uczeń gimnazyalny; Broniewski Alfons, uczeń szkoły realnej; Kozakiewicz Włodzimierz, uczeń gimnazyalny; Karczewski Kazimierz, uczeń gimnazyalny; Lipiński Kazimierz, snycerz; Kruk Włodzimierz, stolarz; Steininger Jan, ślusarz; Zwiernicki Józef, stolarz; Cirin Władysław, stolarz; Skislewicz Jan, stolarz; Kleiner Izydor, stolarz; Samek Wojciech, rzeźbiarz; Pilszak Jan, stolarz; Znaczkiewicz Stanisław, garncarz; Hładuński Ludwik, stolarz; Wołoszczak Michał, murarz; Czerwiński Karol, szewc; Głowacki Karol, ślusarz; Prokopowicz Teodor, stolarz; Tomczuk Grzegorz, stolarz; Wojnarowicz Michał stolarz; Krupski Julian, malarz pokojowy.

Z uczennic zasłużyły na wyszczególnienie publiczne w pierwszym rzędzie panny: Helena Komorowska, Stanisława Pawulska, Anna Schumann, Hrabina Konstacya Stadnicka, Hildegarda Mentszel, Joanna Pechinger, Marya Stanecka.

Na odznaczenie zasłużyły panny: Marya Konopacka, Ema Wartyńska. Helena Aulich, Zofia Fuchsa, Jadwiga Heppe, Marya Tarnawiecka, pani Józefa Kawczyńska, Marya Kunz, Marya Kopecka, Karolina Hauser, Emilia Hess, Julia Bogdani, Olga Szydłowska, Julia Abgarowicz,

a w dalszym rzędzie panny: Michalina Zdanowicz, Olga Modzelewska, Kazimira Wrotnowska, Józefa Malinowska, Marya Chmielewska, Joanna Zellinger, Ewelina Sienkiewicz, Wiktorya Epler, Kazimierz Swiątkowska, Olga Sokulska, Ludwika hr. Marya Borkowska, pani Wanda Jaworska, Józefa Zacharjasiewicz, Zofia Lubinger, Stanisław Hückel, Emilia Trak, Rozyna Zarębianka, Gizella Drobner.

Ocenienie postępu uczniów c. k. Szkoły snycerskiej na podstawie dokonanej na dniu 3 października br. klasyfikacyi:

1. Z uczniów I. roku zostali jako uzdolnieni do przejścia na II. rok uznani: Kopniak Bronisław, Repichowski Ludwik. — Dylewski Józef, Jasielkowski Stanisław i Swietnik Seweryn, w skutek nader małego postępu opuścili z końcem roku szkolnego 1884/5 zakład,

2. Z uczniów II. roku zostali jako uzdolnieni do przejścia na III. rok uznani: Kurczyński Emil, Auerbach Feiwel, Chrząstowski Franciszek, Majcher Michał, Litwinowicz Bazyli.

3. Z uczniów III. roku zostali jako uzdolnieni do przejścia na IV. rok uznani: Kośmiński Zygmunt, Machnicki Karol, Niemczanowski Władysłow, Dziubański Piotr, Mischalek Jan. — Hićkiewicz Stanisłow nieklasyfikowany z powodu wydalenia ze szkoły za opieszałe uczęszczanie i niedbałe wykonanie robót praktycznych.

Jeżeli rzucimy okiem na wystawę, umieszczoną w sali ratuszowej, to ta nas poucza przedewszystkiem, iż oprócz wielu innych przyczyn niepowodzenia naszego przemysłu i rękodzielnictwa, był i jest brak postępowego wykształcenia rękodzielnika, którego sam warstat dać nie może. Czem większa oświata w tym kierunku, tem łatwiejsza będzie konkurencya z tymi, którzy usiłują nas wypchnąć z ruchu ekonomicznego kraju.

Ci co zwiedzili wystawę w Peszcie, przekonali się naocznie, jaką wagę produkcyjną ma silna wola przy odpowiedniem wykształceniu przemysłowca i rękodzielnika. Tam można się było przekonać, że rodzimy przemysł domowy jest największą dźwignią samodzielności przemysłowo-handlowej. Należy tylko umieć budować na tych fundamentach. Ileżto u nas nażartowano sobie i nadrwiono z tych, którzy zbierali n. p. rozmaite garnki i miski po jarmarkach, tkaniny ludowe, hafty i inne okazy samouków domorosłego rękodzielnictwa i kunsztu. Takich zbieraczy uważano po prostu co najmniej za nieszkodliwych maniaków. Ci zaś maniacy wiedzieli i wiedzą co czynią, uwzględniając i tu wskazówki prawa natury, które jako czynniki odrębności narodowej, są również pierwotną podwaliną dla przemysłu i handlu. Jedynie taka odrębność może zwrócić na siebie uwagę szerokich sfer społecznych i nie zginąć w potopie kosmopolitycznej produkcyi. Węgrzy wszedłszy na tę drogę dokonali olbrzymiej pracy, bo wystąpili na wystawie w Peszcie w swej charakterystycznej odrębności narodowej, jako samodzielne ciało, z którem się najwięcej przemysłowy zachód Europy liczyć musi. Wystąpili oni do walki konkurencyjnej w przemyśle i rękodzielnictwie na podstawie motywów ludowych, takich samych, jakie stanowią charakterystykę przemysłu ludowego w Galicyi. Nie dawuo temu, jak n. p. w Węgrzech garncarstwo i wszelkie wyroby gliniane były może nawet mniej udatne aniżeli nasze. Dziś węgierska

---

gatki Gródeckiej aż do Łyczakowskiej i od Zielonej na Żółkiewską.

Tak jest, Jańcio popełnił straszną zdradę; bo gdy jemu tylko ambasada własna doniosła, (być może że na własnym drucie), że Mierzwiński przyjedzie o 5 rano a nie o 4 po południu, Jańcio przybrawszy swoją przyboczną świtę, wyjechał otulony w płaszcz dla niepoznania w najścislejszem incognito na dworzec kolej Karola Ludwika i powitał — „króla tenorów“. Że Jańcio nie został dotąd zasztyletowany lub zadynamitowany, to zaiste może tylko przypisać cudowi i opatrzności nad nim czuwającej, oraz nieszkodliwości lwów, tygrysów i lampartów lwowskich.

Gdy przyjazd Mierzwińskiego stał się faktem, powstała jeszcze w jednym kierunku emocya, z którą można się było spotykać przed obydwoma Bankami zastawniczymi przy ulicy Teatralnej, tj. Ruskim i w gmachu Skarbkowskim, gdzie nawet półksiężyców miano wezwać do pomocy dla zapobieżenia katastrofie z powodu natłoku. Tym razem nie widziałeś tam niesionych ostatnich poduszek i t. p. ostatnich ruchomości, aby zdobyć potem bułkę chleba lub miarkę ziemniaków, bo do operacyj finansowych dążyli inni śmiertelnicy, nawet znakomitości nasze i śmietanka obojga płci, która następnie pochwyciwszy papierki z kasy zastawniczej w rękę, uderzała wstępnym bojem na kasę teatralną. Taki sam ruch był widoczny przy wejściu przed głównemi drzwiami do kasyna „końskiego“, gdzie znowu nadworni pośrednicy ułatwiali operacye finansowe.

Wygłaszano pojęcia teorytyczne o wysokiem *c* z ilustracyami w „Mierzwińskim“ podług „znakomitego rysunku“ nadwornego dekoratora Koła literackiego. Konterfekt ten przedstawia króla tenorów, gdy ten antiquo modo, jak to były jeszcze używane moździerze i bomby, lub wielkie „kolubryny“ wyrzuca przez elewacyę wysokie *c*, przed którem się korzą narody. Publika nie chcąc utracić najmniejszego szczegółu z pamięci, zapytuje znakomitego artystę, czy i ten konterfekt rysował z natury, bo w muzeum figur woskowych w domu narodnym nie było konterfektu p. Mierzwińskiego, gdzie artysta wykonał podobno wiele studyów z tej natury.

Ciekawe są również wyścigi naszych lwowskich powag i znakomitości na polu znawstwa tonów. *Gazeta narodowa*, *Dziennik polski*, *Kuryer*, *Lembergerka*, walczą o pierwszeństwo bezpośredniego zbliżenia się do króla tenorów, uściśnienia jego ręki i uzyskania błogosławieństwa na dalszą drogę krytyczną.

Wprawdzie na „Monczałówce“ jeżdżąc, nie zawsze jeszcze można konkurować z pegazami, mianowicie lwowskimi; dlategoteż nie mamy najmniejszej pretensyi, aby nasze zapiski kronikarskie mogły się mierzyć z wyroczniami nadpełtwiańskiemi. A więc tylko ze zwyczaju gadulstwa pobajemy co nam na myśl przychodzi. I tak zaczniemy od orzeczenia o królu tenorów. Otóż my dosyć obojętni na sławę wszechświatową, ograniczymy się tylko na pojęciu p o l s k i e g o k r ó l a t e n o r ó w. Takiego króla znaliśmy tylko jednego na ziemiach polskich, a był nim D o b r s k i w Warszawie. Od tego czasu było wielu konkurentów do tego tronu, ale dotąd stoi niestety opróżniony.

Że p. Mierzwiński zyskał sobie sławę w wielu stolicach Europy, cieszy nas to niewymownie, boć to nasz — rodak. Nic to jednak mu nie ubliży, jeżeli również rodacy pomówią o nim u siebie — w gronie rodzinnem. A czynią to dla tego, aby nie iść bezwzględnie za przysłowiem: „Nowe sitko na kołek“, a stare, które nam długo i poczciwie służyło, wyrzucić na śmietnik. Gdy widzimy i słuchamy p. Mierzwińskiego, przychodzą nam na myśl D o b r s k i, Z a k r z e w s k i, a choćby od niedawna słyszany brat Rusin, M y s z u g a. Dobrski i Zakrzewski nie posiadali mianowicie tak wysokiego *c* jak p. Mierzwiński, chociaż metal ich głosu nie budził tylko podziwu, ale wzruszał do głębi duszy, budził uczucia związane ściśle z najświętszymi ideałami i nieraz bywało wyciskał łzy rzewne, a spiew brzmiał jeszcze echem długo, długo w duszy i uczuciu. Myszuga ma jeszcze mniejszą skalę, a zewnętrzny kapitał jego artystyczny ulegał często nawet dotkliwej krytyce. Czy to było sprawiedliwe i uczciwe ze strony naszych krytyków, to może niedaleka przyszłość lepiej osądzi.

Mierzwiński włada z łatwością rzadką nader wysoką skalą głosu, bo aż do wysokiego *c*, a jest to wyżyna, do której tylko tak silnie rozwinięty organizm fizyczny dojść może. Ten organizm, ta pierś szeroka i wydatna, są główną skarbnicą śpiewaka. Potęgę głosu rozwinęła dobra szkoła, ale są to już wszystkie skarby, jakie nauką zdobyć mo-

ceramika, majoliki, eksportowane są już prawie po całej kuli ziemskiej. Tak samo dzieje się z tkaninami wszelkiemi z krajowych materyałów, wyrobami drzewnymi, galanteryjnymi i t. d. W warstatach i fabrykach powstaje ruch, liczony na setki i tysiące robotników. A dla czego? Bo miano silną wolę nie tylko do pracy, ale do nauki w tym kierunku i postępu.

Otóż to, co wychodzi na zdrowie Węgrom, i nam może sprowadzić lepszą dolę. Wszystkie jednak krzyki i lamenta nie odniosą skutku, jak długo nie zakaszemy rąk, nie przysiądziemy fałdów, nie rozjaśnimy sobie umysłu, czyli słowem nie przygotujemy takich pracowników, którzy w konkurencyjnej wolności będą umieli stawić czoło obczyźnie.

Dzięki Bogu, przez ciemnotę zaczynają przebijać się promyki słoneczne i jest nadzieja, że będą nas coraz więcej ogrzewały i cuciły z letargu bezczynności.

Z taką otuchą w sercu przeglądaliśmy wystawę w sali ratuszowej.

W pierwszej salce wystawione były roboty snycerskie, prawie głównie płaskorzeźby. W tych przedmiotach nie można było w roku zeszłym dopatrzeć się jeszcze wyraźnej metody w traktowaniu drzewa dłutem. Były to próbki i kopie, ale nie dały się odczuć wskazówki kierownictwa artystycznego. Myśmy się jednakowoż nie dziwili temu, zważywszy, że nauczyciel w jednej osobie nie może uczyć skutecznie działów modelowania, rzeźbiarstwa i snycerstwa zarazem. Wypada koniecznie rozróżnić rzeźbiarstwo od snycerstwa, które każde z osobna wymaga innego traktowania dłutem. P. Wiśniowiecki, jakkolwiek wybornie spełniał swój obowiązek nauczyciela modelowania jako rzeźbiarz, trudno od niego było żądać, aby był równocześnie specyalistą snycerzem. Dyrekcya szkoły była niezawodnie tego samego zdania, gdyż powołano do nauki snycerstwa dekoracyjnego, p. Juliana Bełtowskiego, a wybór był trafny, jak tego dowodzą przedmioty wystawione, dające się odczuć kierownictwo, zacierające z dobrym skutkiem dłubaninę. W tym dziale odszczególniają się mianowicie Machnicki Karol, Kurczyński Emil, Auerbach Feiwel i Kośmiński, którzy tak w modelowaniu, jak i w snycerstwie celują największą liczbą wystawionych przedmiotów.

Z wielkim zajęciem oglądaliśmy dział rysunków podług modeli gipsowych wzorów z natury i własnych nawet kompozycyj, mianowicie wykonanych w kolorach guaszami i akwarelą. Panna Helena Komorowska to bezzaprzeczenia dzielna siła już dzisiaj w artyzmie przemysłowym. Panna Stanisława Pawulska, Anna Szumann, hrabina Konstancya Stadnicka, Hildegarda Menczel, Joanna Pechinger, a dalej Marya Konopacka i kilka jeszcze innych panien, świadczą dobrze, że u nas poczucie i talent artystyczny kobiecie nie jest obcym. Szkoda wielka, że panna Stanisława Pawulska jako nauczycielka szkoły wydziałowej nie może się wyłącznie poświęcić artyzmowi przemysłowemu.

W rysunkach ściśle rękodzielniczych, a mianowicie związanych ze stolarstwem, słusznie przyznano pierwsze nagrody Michałowi Wasylinie, oraz Andrzejowi Kilianowi; niemniej zasługują na uwagę Józef Cieśla stolarz, August Boguchwalski dekorator, Ludwik Tyrowicz snycerz, Tadeusz Macikowski rzeźbiarz i Kazimierz Wajdowski mosiężnik.

Wiele obiecują na przyszłość, Kruk Włodzimierz, Dziubiński Piotr, Kośmiński Zygmunt.

O dziale praktycznym okazów wystawowych możemy się jeszcze bardzo pochlebnie wyrazić o robotach galanteryjnych w połączeniu stolarstwa ze snycerstwem. Okazy te przekonują nas, że się dział ten rozwijać będzie prawidłowo.

Są jeszcze i okazy z nader ważnego działu rękodzielniczego, t. j. tokarstwa, lecz w t kowem w porównaniu z rokiem przeszłym nie tylko nie widzimy postępu, ale mielibyśmy nawet prawo zaznaczyć zacofanie. Dział ten nie jest widocznie traktowany na seryo, lecz po dyletancku, i po prostu jest tylko markowany, że wchodzi w całość nauki szkoły. Nie śmiemy jednak robić zarzutu pod tym względem dyrekcyi, a to z tego powodu, że znamy, w jak licznych kierunkach dział tokarski jest rozczłonkowany, mianowicie na tokarstwo drzewne, z kości, rogu, alabastru, metalowe i t. d. Tu nie może się dotąd rozwinąć szkoła nawet w kierunku tokarstwa z drzewa, bo i ta rozczłonkowuje się znowu na kilka gałęzi, jako to: białe, politurowane, meblowe i budowlane, galanteryjne. Jeżeli zaś szkoła posiada tylko cztery tokarnie, to środki te nie są wystarczające, do odpowiedniej w wyniki nauki.

Obowiązkiem naszym jednakowoż jest zwrócić szczególną uwagę na ten dział, bo tokarstwo u nas w Galicyi powinno zatrudniać tysiące rąk, a jak wiadomo, znajduje ono się w pożałowania godnym upadku. Wszelkie jednak życzenia pozostaną tak długo tylko marzeniami, dopóki nie mówiąc już o Muzeum przemysłowem, szkoła artystyczno przemysłowa nie będzie się mogła rozwinąć we własnym budynku. Kilka ciasnych izb, w których się mieści, a których magistrat nie może więcej dostarczyć w ratuszu, wobec wzmagającej się liczby uczniów i konieczności prawidłowej nauki, umieszczenie to szkoły jest zaiste ironią. A dopokąd nie usunie się tych piekących przeszkód, nie można stawiać nauce dodatniejszych żądań. Jeżeli mamy zachcianki na menażerye i inne niemniej kosztowne wydatki, dla podniesienia i znaczenia stolicy kraju, to niezapominajmy o tem, że daleko ważniejszą sprawą jest rozwój szkoły przemysłowo-artystycznej. Muzeum nasze jest jak wiadomo tak ściśnięte, że połowa okazów mieści się w skrzyniach i pakach. Dziś wątpimy, ażeby kto śmiał nazywać muzeum przemysłowe niepotrzebnym dla nas luksusem, przeciwnie, postanowieniem w tym kierunku powinien się przejąć każdy członek Rady miasta, powinien się przejąć Wydział krajowy i kraj cały, a będzie to daleko skuteczniejszy środek do podniesienia dobrobytu kraju, aniżeli setki ankiet przemysłowych, z których dotąd kraj bardzo mało odniósł pożytku. Jeżeli brak funduszów, to w tym wypadku nie można się nawet zawahać przed zaciągnięciem pożyczki. O ile opóźnia się budowa muzeum przemysłowego i szkoły przemysłowo-artystycznej, o tyle się szkody przynosi ogółowi.

Na tem kończymy nasze sprawozdanie i uwagi, życząc z serca i duszy szkole dalszego rozwoju.

Ważna sprawa dla ekonomii miast w Galicyi.

Któremuż obywatelowi, a szczególnież ze stolic: Lwowa i Krakowa, nie znaną jest nieustająca walka, jaką magistraty i Rady tych miast były zmuszone staczać i staczają z towarzystwami, którym oddano oświetlanie gazowe. Że miasta były dotąd i są w jak najohydniejszy sposób wyzyskiwane, że się dobrowolnie poddały najbezwzględniejszej kontrybucyi, to rzecz tak jasna i widoczna, iż każde słowo objaśniające, jest zupełnie zbyteczne.

Prawdą jest, że stosunki nasze, gdy miasta zawierały umowy z przedsiębiorcami o oświetlenie, były zupełnie inne, technologia w tym kierunku nadzwyczaj ograniczoną, o elektryce nie śniło się nikomu; nafta i przyrządy do jej spalenia były jeszcze w kolebce, a jedynym materyałem był olej rzepakowy lub lniany. Cóż więc dziwnego, że gdy zasłyszano o gazie świecącym, wywarł on daleko silniejsze wrażenie, aniżeli nawet dzisiaj oświecenie elektryczne. Naturalnie, że odnośni kulturträgerzy nie omieszkali wyzyskać naszej nieświadomości, co zresztą i my bylibyśmy na ich miejscu to samo uczynili.

Dziś zmieniły się czasy o tyle, iż nauka poszła naprzód, i od chwili, gdy pierwsza latarnia oświetloną została gazem węglanym w Krakowie lub Lwowie, zrodziło się tyle wynalazków i tak cennych, o których dawniej nie tylko u nas, ale na całej kuli ziemskiej nikt nie marzył. Otóż wobec takich warunków jest zupełnie na czasie, abyśmy nareszcie pomyśleli, w jaki sposób wyzwolić się w Galicyi od monopolu i kontrybucyi nie tylko towarzystwa dessauskiego, ale innych podobnych. Rzecz ta godna zaista bliższego zastanowienia. Wprawdzie o ile wiadomo, ojcowie stolicy kraju i Krakowa zastanawiają się już dosyć dawno; gdy jednak ich tempo myśli jest nadzwyczaj powolne, to nie zaszkodzi zastanowić się i luźnemu śmiertelnikowi, opłacającemu kontrybucye i podatki gazowe.

A więc nie popełnię grzechu śmiertelnego ani zbrodni, jeżeli się zacznę głośno zastanawiać:

Przedewszystkiem kładę sobie pytanie, czy u nas w Galicyi zamiast sprowadzać po drogich cenach węgiel kamienny, którego pokłady w Galicyi zachodniej są nader homeopatyczne, a więc posiłkować się trzeba z zagranicy, czy nie ma innego materyału, z którego tak samo jak z węgla kamiennego możnaby gaz wytwarzać?

Otóż rzuciwszy okiem po widnokręgu Galicyi, a mianowicie na cały pas naftowy, spotykamy tam ogromne masy odpadków naftowych przy destylacyach nafty, które zastępują węgiel kamienny przy produkcyi gazu świetlanego.

Mniej więcej przed dziesięciu laty, oświetlony został w ten sposób Stanisławów przez znakomitego naszego technologa p. Juliana Wanga, obecnie właściciela fabryki wytworów chemicznych i nawozu z mąki kościowej pod Lwowem.

Gazem z odpadków naftowych oświetlony jest Stanisławów po dziśdzień, pomimoto nie jest nam wiadomem, czy którykolwiek magistrat galicyjski, lub też ciało zbiorowe jakiej Rady miasta, gdzie

---

żna. Należy przytem rozróżnić tak nazwany metal głosu od metalu, który dzielić wypada znowu na metal siły fizycznej, metal oczyszczony i wyrobiony, a metal uczucia, który uszlachetnia dopiero intuicya duszy śpiewaka. Do zaokrąglenia całości artyzmu głosu należy jeszcze pewne decorum, a prawie niezbędny akompaniament do śpiewu operowego, gra dramatyczna. Otóż i ta nie da się jedynie wykuć nauką, ale rodzi się z uczucia wewnętrznego, czyli wielkiej czułości ducha. Że był czas, w którym nigdy nie zapomniany Dobrski władał tymi wszystkimi skarbami, o tem starsi ludzie pamiętają i mogliby dać w każdym razie świadectwo.

Mierzwiński budzi siłą i czystością głosu swego podziw, pozostaje ta siła i czystość nawet w pamięci, ale nie umie i nie ma tych sił tak śpiewać, aby dusza słuchacza zadrżała z rozrzewnienia i przejęcia się tonami, łączącymi się z oddźwiękiem jej głębi. Mierzwiński imponuje nietylko potęgą głosu, ale i osobistem śmiałem nad wyraz wystąpieniem, i to jego przekonaniu własnemu, pojęciu o doskonałości śpiewaka wystarcza zupełnie. Nad akcyą dramatyczną w ścisłem słowa tego znaczeniu nie zastanawia się, nie kładzie na nią żadnej wagi i uważa ją wprost za zbyteczną, za niepotrzebny trud. Każe podziwiać swój głos i na tem koniec. Dlategoteż słuchacz i widz zarazem, opuszczając salę teatralną, doznaje emocyi podziwu, ale nieomal takiego samego, jak gdy miał sposobność widzieć znakomitego jeźdźca, akrobatę lub herkulesa. Ten podziw na długo pozostanie mu w pamięci, tylko nie w duszy. Inną pamięć pozostawił po sobie Zakrzewski, a nawet Myszuga. Pierwszego skala nie była tak absolutnie wysoką, jak Mierzwińskiego, ale gdy Zakrzewski śpiewał, to każdy ton przenikał całe jestestwo słuchacza, przeobrażał jego uczucia, zapierał oddech w piersi, aby nie stracić ani jednego oddźwięku. Dusza płakała z rozrzewnienia i radości, a taka łza każda była dla niej najszlachetniejszym balsamem. Myszuga, acz niepokaźny, bo od natury nader skąpo wyposażony, nie posiadając tak rozwiniętych piersi, a więc nie jest mu także dostępną wysoka skala, pod względem jednak uczucia w śpiewie, zmuszał mimowoli zapominać o innych brakach. Przechodził natomiast całą skalę szyderstw i urągania we Lwowie, które dopiero Warszawa i Wiedeń uciszyły. Uważano go nieomal za intruza, wdzierającego się na deski naszej sceny, a takie znakomitości reporterskie jak Fryling-Frühlingi posuwały się dalej, bo aż do brutalnych czynnych napadów.

Otóż zapytujemy się tych wszystkich patentowanych krytyków, czy też tak samo byliby oceniali p. Mierzwińskiego, gdyby tenże był rozpoczynał swoją karyerę artystyczną we Lwowie?

Zdaje się, żeśmy poglądem naszym w niczem nie ubliżyli p. Mierzwińskiemu, oświadczając, że i my łączymy się do podziwu ogólnego jego skali i czystości głosu.

P. Mierzwiński zdaje się jednakowoż, iż wybornie poznał i umiał ocenić Lwów, a dowiódł tego na raucie w kasynie miejskiem. Pojął dobrze, że aby Lwów rozruszać, popchnąć do podziwu, nie dosyć jest zaśpiewać mu wysokie *c*, ale potrzeba jeszcze innych pobudek łechcących nerwy; a więc zagrał jeszcze, i — zaświstał, i tu dopiero fale uwielbienia rozbujały się jak rozhukane morze. Rozbujanie to było jednakowoż na tyle oględne, iż gdy przyszło do realnego objawu, czyli złożenia na wezwanie p. Mierzwińskiego „obolusu“ za świstanie, ale na rzecz tych, którzy nie mogli słyszeć ani śpiewu, ani gry, ani świstania, wtenczas pomimo najpilniejszej kontroli, na 300 rozzpodziwianych, znalazło się zaledwie 50, którzy się zdobyli na ofiarę po papierku w. a. P. Mierzwiński widząc ten nader słaby realny objaw podziwu, chciał go jeszcze spotęgować przedstawieniem gimnastycznem, które jednakowoż nie przyszło do skutku. I dobrze się stało, bo pod tym względem gotów był doznać jawnej porażki w stolicy — Sokoła, gdyż nie tylko p. Durski byłby sobie nie pozwolił w kaszę nadmuchać, ale znaleśliby się byli i inni współzawodnicy.

Gimnastyka jak wiadomo, dzieli się na rozmaite działy, i uprawianą jest w rozmaitym kierunku we Lwowie, a nawet w tak znakomitem towarzystwie, jak końskie kasyno. W towarzystwie tem dano wyłączne przedstawienie gimnastyczne dla p. Mierzwińskiego, po którego ukończeniu, na schodach zaśpiewać sobie miał:

„Ne chody Hryciu na weczernyciu...“

P. hrabiemu Golejewskiemu miały aż łzy radości popłynąć z oczu, na widok, jak jego pisklęta, które z takim trudem i poświęceniem wychował, dzielnie się popisały.

oświetlenie gazem z węgla produkowanego jest zaprowadzone, uważało za właściwe poczynić badania porównawcze, który system jest dla nas lepszy, tańszy, a przedewszystkiem wpłynąćby mógł na korzyść naszych stosunków ekonomicznych?

Być może, że takie badania porównawcze odbywały się, ale o nich nie nie wiemy, bo nie pamiętamy, aby były w którychkolwiek pismach krajowych ogłaszane. Jeżeli się to zaś nie stało, to byłoby bardzo pożądanem i na czasie, aby takie studya przeprowadzić.

Chcąc myśleć głośno dalej, musimy się przedewszystkiem z góry zastrzedz, aby nas nie posądzono o wstecznictwo, lub też o forytowanie jakiej spekulacyi finansowej dla jakich lub jakiejś osobistości. Przed takiemi podejrzeniami zastrzegamy się najsolenniej.

W tych dniach idąc ulicą Kraszewskiego wieczorem, zwróciło naszą uwagę światło kilku latarń, które się daleko korzystniej przedstawiały, bo jaśniej świeciły, aniżeli inne sąsiadki. Przypatrzywszy się bliżej, spostrzegliśmy dopiero, że to nie gaz taki odblask daje, ale nafta. Bliższe zaś badania uzupełniły nasze spostrzeżenie, że nafta świecąca w tych latarniach mieści się w zbiornikach najnowszego wynalazku, na które p. Leon Bratkowski uzyskał patent.

Stosunek tego światła naftowego jest taki, iż gdy jedna latarnia gazowa daje światło o sile płomieni 12 świec, oświetlanie naftowe podług najnowszego systemu p. L. Bratkowskiego przedstawia w latarni światło o sile 25 świec. Rzeczą naturalną, że oddziaływa na rozjaśnienie ciemności daleko skuteczniej.

Otóż zdaniem naszem, byłoby również pożądanem, ani zbadać sumiennie różnicę kosztów oświetlania gazowego o płomieniu 12 świec, a naftowego o 25ciu.

Wiemy o tem z góry, że nafta jako materyał przedstawi się drożej od gazu; ale należy nie zapominać o tem, że najkosztowniejsza latarnia wraz z przyrządem naftowym najnowszego wynalazku nietylko o płomieniu 25 świec, lecz zdwojonem tj. 50, nie może pociągnąć takich kosztów za sobą, jak założenie fabryki gazu, olbrzymich zbiorników i ogromnego wydatku na kładzenie rur żelaznych. A jak się te rury dają we znaki, ile powodują ruiny bruków, chodników, ile wpływają na niebezpieczeństwo życia ludzkiego, tego wszystkiego doświadczyliśmy już aż zanadto. Wobec takich warunków należałoby się więc nad tem zastanowić, co należy czynić nadal. Tak Lwów jak Kraków i miasta prowincyonalne rozszerzają się rokrocznie coraz więcej. Obywatele zamieszkujący te nowe części, są uprawnieni, aby korzystać tak samo z wszelkich ulepszeń i dogodności, jak najcelniejsze rynki i ulice. Jeżeli zaś w czem, to pod względem oświetlenia traktowane są całymi dziesiątkami lat po macoszemu. Kraków zrzucając stanowczo z siebie jarzmo dessauskie, posiłkuje się naftą od niejakiego czasu, zaczem nastąpi decyzya, jak i czem ma być oświetlony. Nie wiemy jednakowoż, czy ojcowie miasta Krakowa zaprowadzając prowizorycznie naftę, uważali za właściwe, aby poddać próbie dokładniej inne systemy lamp najnowszej konstrukcyi, świecących naftą. Wiadomo nam np., że p. Syroczyński, górnik, urzędnik Wydziału krajowego, przywiózł z wystawy antwerpskiej także jeden z najnowszych wynalazków, czyli lampę o płomieniu 25 świec. Mówimy o tem tylko nawiasowo, aby zwrócić uwagę, że w świecie przemysłowym — w technologii, oświetlanie naftą zajmuje żywo umysły i postęp w tym kierunku bynajmniej nie założył rąk i nie złożył broni wobec elektycznego światła przyszłości.

Że nafta i gaz są tylko peryodem przejściowym do oświetlenia elektrycznego, nie ulega żadnej wątpliwości; jestto tylko kwestya czasu. Lecz dla nas, dla Galicyi i w naszych stosunkach, nafta, którą u siebie posiadamy, a której eksploatacya zaczyna przyjmować olbrzymie rozmiary, jest pod względem ekonomicznym kraju nader ważnym czynnikiem. Jesteśmy tego przekonania, że każdy kraj, gdyby się w tych warunkach znajdował, nie szukałby jak to mówią obcych bogów, ale korzystałby z tego co ma, nie wyrzucałby nieoględnie pieniędzy za granicę, ale starałby się o jak największy obrót ich u siebie.

Kończąc nasz pogląd, przedstawiamy ojcom miasta i to życzenie, aby magistrat wszedł w porozumienie z p. Leonem Bratkowskim i przeznaczył mu chociaż jednę z krótszych ulic, aby tę oświecić naftą w lampach jego patentowanego wynalazku, umieszczając takowe nie w latarniach gazowych, ale w odpowiednich do tych lamp i wynalazku.

KORESPONDENCYE.

Belgrad, *dnia 4. Października 1885.*

List wasz, szanowny ziomku dopiero wczoraj odebrałem, gdyż przez kilka dni nie byłem w domu. O ile to w mej możności, nadsyłać Wam będę korespondencye. W tej chwili jednak jestem tak zajęty pracą obowiązkową, że nie mam czasu do zestawienia wszystkich ciekawych faktów po porządku, a które przyszłyby rzeczywiście jako spóźnione, bo ogłoszone już w dziennikach. Dziś piszę do was, zestawię tylko w krótkim poglądzie, jak rzeczywiście oddziałała rewolucya bułgarska na stosunki serbskie.

Scenerya ta polityczna zmienia się nieustannie jak obrazki w kalejdoskopie; więc co dzisiaj zapowiada gwałtowną burzę w dyplomatycznym świecie, składa się dnia następnego ad acta i zdaje się być wszystko w najlepszym porządku. Tak jednak nie jest, bo wszystko tylko jedno widmo drugiemu.

Połączenie Bułgaryi z wschodnią Rumelią, uważane jest dziś prawie wszędzie i przez wszystkich za rzecz dokonaną, gdyż nawet w Turcyi, a więc tem państwie, które ta sprawa najwięcej obchodzić może, nie można się dopatrzeć, aby chciano na seryo gwałt gwałtem odeprzeć. Czy Turcya uważa ruch swój za spóźniony, czy też w istocie zgadza się na wynik konferencyi ambasadorów w Konstantynopolu i czego się po tej konferencyi spodziewa, nie jest zrozumiałem.

Nie myślcie, aby panowie ambasadorowie na konferencyi, chcieli sobie zanadto głowę suszyć, jak rozstrzygnąć oderwanie się Rumelii wschodniej od Turcyi. Z tego nie dostaną bolu głowy. Najważniejszą ich czynnością będzie, w jakiej formie podać ludom Europy to nader jaskrawe złamanie traktatu, aby chociaż cokolwiek powstrzymać niemiłą woń. Gdy to będzie załatwionem, cała Bułgarya otrzyma swój numer w archiwach dyplomatycznych, gdzie spokojnie może drzemać. Maluczko, a zostanie zapomnianą, gdyż jak przysłowie niesie, „o umarłych się nie mówi".

Inaczej zupełnie ma się rzecz z Serbią i Grecyą, których apetyt podrażniony jest do najwyższego stopnia. Jedna i druga nie dadzą się tak łatwo uspokoić, a szczególniej Serbia, która dotykając bezpośrednio granic zajętych prowincyj, t. j. Bośnii i Hercogowiny i żyjąc wrzekomo w najściślejszej przyjaźni z monarchią Austro-Węgier, zasługuje na uwagę co się tu dzieje. Cały kraj podzielony jest na dwa stronnictwa — na umiarkowane, życzliwe Austryi, które w królu uważa najgorętszego zastępcę, — i stronnictwo radykalne, nieprzyjazne Austro-Węgrom, na którego czele stoi były minister Ristics. Obecnie góruje pierwsze stronnictwo; jednakowoż, o czem w tej chwili nie mogę orzec stanowczo, że większość umiarkowanych osiągnęła przy wyborach jest tylko sztuczną, to w takim razie prawdziwa większość chociaż mała, będzie po stronie drugiego stronnictwa czyli radykałów. W ostatnich czasach były usiłowania widoczne, aby doprowadzić do zupełnego przewrotu w Serbii, a rewolucya wschodniej Rumelii była nader pożądaną, jako dająca powód do schwycenia tłustego kąska. Chcąc ten cel osiągnąć, potrzeba było zmobilizować armię. Taki środek okazuje się dobry w skutku; otóż i tu umilkła walka stronnictw, wszelka opozycya staje się niemożebną i wszyscy gromadzą się obok tronu. Pojedyncze stronnictwa jakby dotknięte czarodziejską różczką przestały istnieć i jakby z jednej piersi wołają: — „Naprzód do starej Serbii!" Króla witają z entuzyazmem gdzie się pokaże, i nie ulega żadnej wątpliwości, że gdy się zbierze skupczyna w Niszu, uchwali jednogłośnie wszystkie środki, obmyślane przez rząd. Kto tylko może unieść broń, dąży do szeregów, formują się bataliony, aby maszerować na granicę, a pozostali żegnają ich z dumą, oczekując świetnych czynów.

Ale co dalej? — Oprócz Turcyi jest niezawodnie Austrya tem państwem, które podjęty ruch serbski najwięcej dotyka, bo się wkrada w jej własne interesa. Że mężowie stanu Austro-Węgier będą mieli twardy orzech do zgryzienia, to jest pewnem. Czy będą umieli wyciągnąć korzyści dla swej monarchii, to czas pokaże.

Jeżeli Austrya przyglądać się będzie temu spokojnie, co się dzieje i dziać będzie, to może być przygotowaną, że raz na zawsze odciętą zostanie nietylko od Egiejskiego morza, ale pozbawioną zostanie ruchu handlowego w tym kierunku, który się monarchii da odczuć bardzo dotkliwie. Jeżeli zaś podniesie ramię w celu powstrzymania aspiracyj serbskiego ludu, wtenczas reakcya jest niezawodną, bo dziś stojące jeszcze w mniejszości stronnictwa przeciwne Austryi zyskałyby absolutną większość. Zmiana panującego obecnie systemu rządowego w Serbii byłaby nieuniknioną, a król zmuszony by był ugiąć czoła przed żądaniami ludu, jeżeliby się nie chciał dla siebie i dla swej dynastyi zrzec tronu i państwa. Czy taka zmiana byłaby pożądaną dla Austro-Węgier, o tem śmiem wątpić, jeżeli się zważy, że wszelka czynność mężów stanu rządu tego, w ostatnich latach praktykowana, zmierzała ku temu, aby zyskać przyjaciół we wszystkich pojedyńczych państewkach półwyspu

---

Jak naoczni świadkowi twierdzą, to p. Mierzwiński posiada nawet cudotwórczą siłę, której mógłby mu nawet rabin Sadogórski pozazdrościć. Któż u nas nie zna tej śmiertelnej walki, trwającej już lata, jaką na bruku lwowskim wiodą dwaj współzawodnicy, a pokrewni duchem p. Mierzwińskiego. Któż nie zna wrogich sobie zastępów, które walczą jeden pod sztandarem Chopina=Mikulego, a drugi pod sztandarem Liszta=Marka. Zdawało się dotąd, że nawet grób wspólny by ich nie połączył. Aż tu w przybytku lwowskim muz i światła, w kole literackiem, ma się zjawić Mierzwiński, gdzie mu ma być oddaną cześć i uwielbienie. P. Platon Kostecki i p. Władysław Bełza usiłują tego wieczora przypiąć najostrzejsze ostrogi, aby pegazy improwizacyjne natchnąć do najdzielniejszego polotu. Mierzwiński stał się taką siłą przyciągającą, że nawet musiała jej uledz nienawiść Mikulego i Marka i dodać im odwagi oddychania jednem powietrzem, oraz zasiadania za jednym stołem. Znakomitości zebrane osłupiały na ten widok. Było im jednak przeznaczono oglądać własnymi oczami jeszcze większy cud, bo Mierzwiński jako kapłan wielki postanowił dokonać dzieła wielkiego przymierza, trwalszego nawet od wszelkich traktatów politycznych naszych czasów, wobec którego bledną muszą St-Stefano, Berlin, Skierniewice i Kromieryż.

I stał się cud. — Mierzwiński ujął ręce śmiertelnych dotychczas wrogów i tem dotknięciem wlał w nich taką siłę miłości, — że gdy z oczów Mikulego i Marka trysnęły strumienie łez — rzucili się sobie w objęcia.

I wielka była radość z tego przymierza w Kole znakomitych mężów — i wielbiono imię Mierzwińskiego.

Wprawdzie znajdowało się tam kilku niedowiarków, którzy sobie szeptali na ucho, że by to nic nie zaszkodziło, gdy sojusznicy będą się rozchodzili do domów, aby każdemu z osobna przydać straż bezpieczeństwa.

W kasynie końskiem dawano również wieczór i bankiet dla króla tenorów, a pomiędzy wielu toastami wzniesiony był jeden wielkiego i doniosłego znaczenia, którym zaznaczono wielkie zasługi obywatelskie i poświęcenie p. Mierzwińskiego, — że **„dotąd jest i nie przestał być Polakiem"**.

Rzeczywiście, przy końcu dziewiętnastego wieku, w Galicyi, zasługa ta jest niezaprzeczoną i po dziwu godną.

O królu tenorów krąży tak wiele anegdot po Lwowie, iż zebrawszy wszystkie, możnaby już cały tom wydać; a jeżeli co utrwali pamięć pobytu pana Mierzwińskiego we Lwowie, to zapewne te anegdoty. Otóż i podpisany pod zapiskami kronikarskiemi podziela się z zamiejscowymi czytelnikami chociaż jedną taką anegdotką:

Rzecz się tak miała: Król tenorów opowiadał w ściślejszem kółku wysokiego towarzystwa niektóre ustępy ze swej karyery śpiewackiej, szczególniej o intrygach, zazdrości i nieżyczliwości Francuzów. Zwracając się do jednej z wysokich znakomitości, tak mówił:

— „Wyobraź pan sobie moją radość, gdy nagle odbieram telegram, w którym mię wzywają na pierwszego tenora do opery paryskiej. Przyznam się, że jakkolwiek zaproszenie to odrzuciłem, doznałem takiej radości, jak zapewne pan doznałeś, gdy z małego urzędnika czy adwokata, mianowali cię tak wysokim dygnitarzem."

Przyczem dla lepszego znaczenia, do kogo mówi, klepnął dygnitarza poufale po ramieniu.

Na tem kończymy dzisiejsze zapiski kronikarskie, dodając tylko kilka słów o senzacyi, jaka zapanowała pomiędzy wyborcami lwowskimi, którzy w żaden sposób nie mogą się doczytać w dziennikach, aby p. Dr. Karol Lewakowski był wybrany do jakiejkolwiek komisyi w Radzie państwa. My się temu nie dziwimy, bo począwszy się było panu Lewakowskiemu wyrywać w Kole polskiem z tak „warcholskiem" żądaniem, aby w interpelacyi p. Groholskiego użyty był wyraz „Polacy" a nie „austryaccy poddani" P. Dr. Lewakowski powinien raz przecież przyjść do zrozumienia, że Polak, Polacy, a pogląd naszych znakomitych mężów stanu na wielką politykę, nie mogą nie mieć wspólnego z sobą. P. Lewakowski powinien nie zapominać o tem, że aczkolwiek widzi p. Groholskiego zawsze w żupanie lub kontuszu i długich butach, to nie oznacza to koniecznie, że jest Polakiem w Radzie państwa, ale że nosi strój **galicyjski**.

J. N. z Oleksową Gniewosz.

bałkańskiego, i zdobyć je sobie za pomocą racyonalnej gospodarki. Jeżeli jednakowoż stronnictwo opozycyjne stanie górą, to wszelkie wysilenia wielu lat rozpłyną się jak mgła, a Austrya stać będzie znów tam, gdzie stała przed siedmiu laty. Taki zastój może się stać w polityce niebezpiecznym.

Nie potrzebuję wam o tem pisać, iż pomimo serdeczności wymienionych w Skierniewicach i w Kromieryżu, Rossya nie odstąpiła ani krok od swej dawnej polityki. Jeżeli kiedy, to dziś tu w Serbii czuć się dają jej wpływy, a przyznać trzeba, nader zręcznie kierowane. Nie brak tu czapki i papki; imperyały i ruble kursują nieustannie. Przybyło tu kilka nowych figur, które się wszędzie kręcą, i wszędzie mają drzwi otwarte.

Kończę dziś na tem, com napisał, a za kilka dni, jak mi się tylko sposobność nadarzy, (bo i tu trzeba być ostrożnym) poszlę wam więcej szczegółowe sprawozdanie.

Złoczów dnia 9. Października.

Gdy Szan. Redakcya niejednokrotnie już podnosiła nasze smutne stosunki gminne, a mianowicie praktyki kliki, która zniszczyła formalnie całą gminę, to też i dziś nie odmówicie nam zapewne miejsca na doniesienie, co się tu dzieje.

Są tu osobistości, które jakby monopol posiadały, aby działać na szkodę miasta, a uchodzi im to latami. Szczególniej dziwnych względów doznaje p. Władysław L i m a n o w s k i, wrzekomo inżynier i architekta miasta Złoczowa. Gdzie się ten jegomość uczył inżynieryi i budownictwa, to tylko jemu zapewne wiadomo, bo dla innych śmiertelników jest to tajemnicą. Nie ma jednakowoż większego eldorado dla niedouków i samozwańców jak nasza biedna Galicya.

Miasto Złoczów liczy 10.000 mieszkańców, jest siedzibą c. k. Starostwa, sądu powiatowego, sądu obwodowego, c. k. Prokuratoryi i gimnazyum. Dochodu rocznego pobiera Złoczów około 40.000 złr., a niezbyt dawno posiadał znaczny kapitał zapasowy. Dziś opłacać musi procenta od pozaciąganych pożyczek. Bieda zamienia się w nędzę. Burmistrzem miasta jest adwokat p. Dr. Bilet. Przed laty coś tak siedmiu czy ośmiu uchwalono sfruktyfikować zapasowe kapitały, a tem samem podnieść miasto. Zrobiono kosztorys na koszary, który opiewał na 27.000 złr. Przedsiębiorcy ofiarowali się wybudować za 24.800 zł. Oferty nie przyjęto; postanowiono budować we własnym zarządzie pod kierownictwem p. Limanowskiego, która to budowa we własnym zarządzie kosztowała **59.000 zł.**, wyraźnie p i ę d z i e s i ą t d z i e w i ę ć t y s i ę c y. Przy odbiorze przez władzę wojskową, okazało się takie partactwo, iż musiano przystąpić natychmiast do rekonstrukcyi. Dziś przedstawiają te koszary w a l ą c ą s i ę r u d e r ę.

W taki sam sposób wybudowano gimnazyum; kosztorys wynosił 59.000 złr. Przedsiębiorcy żądali 58.000 zł. Budowa we własnym zarządzie kosztowała 71.000 złr. W drugim roku po wybudowaniu, zaczęły się walić sufity. Rekonstrukcya kosztowała 8000 zł., a od tego czasu wydaje się corocznie tysiące na dalszą rekonstrukcyę. Pomimoto cała budowa jest niebezpieczną ruderą i prawie bezwartościową. Całe miasto obwinia głośno Limanowskiego, magistrackiego „inżyniera i budowniczego“, oraz M a l a w s k i e g o, asesora. O innych winowajcach mówi się po cichu, bo to wpływowe matadory.

Takie smutne doświadczenia, które miasto sprowadziły do ubóstwa, nie były jednak przeszkodą dla burmistrza Dra Bileta i jego stronnictwa, aby znowu nie polecić p. Limanowskiemu wypracowania planów na nowe koszary dla kawaleryi, na które postanowiono zaciągnąć pożyczkę, a kierownikami budowy mają być znowu pp. Limanowski i Malawski.

Limanowski, który się narzucił mającej się zawiązać Izbie rękodzielniczej na jednego z głównych przewodników, dopuścił się fabrykowania fałszywych świadectw, co mu udowodniono, a gdy Limanowskiemu i Malawskiemu zależało na niedopuszczeniu zorganizowania się według nowej ustawy przemysłowców i rękodzielników, rozbił prawie brutalnie wszelkie usiłowania ku temu dążące. Od roku przeszło miał magistrat zarządzić dyscyplinarkę przeciw Limanowskiemu; dotychczas jednak sprawa ta zasypia, a Limanowski broi dalej. Czy p. Dr. Bilet nic o tem nie wie?

Niepodobieństwem opisywać tego wszystkiego, czego się taki Limanowski dopuszcza bezkarnie. Notuję tylko najnowszą sprawę. Limanowski nie zrażony i rozwielmożniony, czując za sobą plecy, postanowił wziąć w ręce i tegoroczne wybory do Rady państa. Na zgromadzeniu przedwyborczem dnia 31. Maja b. r. popierając kandydaturę p. Sochora, zawołał: „że w o l i N i e m c a d z i e s i ę ć r a z y . . . . . p o c a ł o w a ć, a n i ż e l i P o l a k o w i p o d a ć r ę k ę“. Powstało oburzenie, krzyczano aby odwołał obelgę, rzuconą na cały naród polski. Na drugi dzień wyrzucono go za drzwi ze zgromadzenia przedwyborczego. Z całego zgromadzenia znalazło się tylko dwóch obywateli, którym ta satysfakcya nie wystarczyła, a byli nimi p. Józef M a l e c, kotlarz i Nestor K r u k o w i e c k i szewc, którzy donieśli c. k. Prokuratoryi Państwa, domagając się kary, za znieważenie narodowości przez Limanowskiego. C. k. Prokuratorya odstąpiła sprawę tę sądowi powiatowemu miejsko-delegowanemu w Złoczowie. Na dniu 11. Września b. r. Limanowski stając na terminie osobiście, nie zaprzeczył, że się tak wyraził, lecz słów tych nie odnosił do narodowości polskiej, lecz do kontrkandydata, redaktora *Kurjera lwowskiego*, p. Rewakowicza.

Zastępca skarżących p. Dr. Ostrożyński ze Lwowa, zażądał zanotowania tego zeznania w imieniu redaktora *Kurjera lwows.*, i wpłynęła druga skarga o obrazę czci. Następnie rozprawa została odroczona. Dopiero dzisiaj, dnia 8. Października, przyszła sprawa znowu na stół. Zastępcą oskarżycieli pp. Malca, Krukowieckiego i Rewakowicza, był znowu p. Dr. Ostrożyński. Nieobecnego Limanowskiego bronił Dr. Luka.

Przesłuchano świadków: Malawskiego, dra Hejnego, dra Bileta, Malca, Krukowieckiego, Pietruszkę, Deutscha, którzy potwierdzili, do czego się sam oskarżony przyznał, dodając, że obelgę uważali zastósowaną do całej narodowości i oburzenie było wielkie.

Markus Deutsch gwałtem rewindykował narodowość żydowską. Wytłumaczono mu jednak, że ta nie istnieje. Po jędrnem przemówieniu dra Ostrożyńskiego i obronie dr. Luki, ogłosił sędzia Rojecki wyrok, uznając Władysława Limanowskiego winnym obrazy narodowości polskiej z §. 491 u. k. i obrazy Henryka Rewakowicza z §§. 491 i 496 u. k., skazując go na 10 dni aresztu, lub zamianę tegoż na kwotę pieniężną 50 złr.

Dr. Ostrożyński zgłosił odwołanie co do wymiaru kary i zamiany aresztu na grzywnę.

Dr. Luka odwołanie co do winy i kary.

Jeżeli rozważymy tę ohydną obrazę narodowości, której się dopuścił Limanowski jeszcze 31. Maja r. b. i zestawimy wszystkie czyny jego, które doprowadziły miasto do formalnej ruiny, a pomimo to Limanowski znajduje obronę i opiekę i jak był tak jest inżynierem i architektą przy magistracie Złoczowa pobierając jako niedouk pensyę 1.200 złr., drwi sobie z dyscyplinarek i wszelkich nawoływań o usunięcie, to musimy nareszcie uwierzyć w to, o czem się w Złoczowie powszechnie a nawet głośno mówi, iż Władysław Limanowski jest nietykalny, ponieważ pewne osobistości wpływowe i posiadające znaczenie w mieście, muszą stawać w jego obronie, aby ich własne czyny nie ujrzały dziennego światła.

Wobec takich faktów, które nie są oszczerstwami, ale prawdą, byłoby wielce do życzenia, aby wysoki Wydział krajowy raczył wejrzeć w tę naszą gospodarkę miastem, gdyż jeżeli tak dalej pójdzie, Złoczów wydany na łup Limanowskich i Malawskich, przedstawi nowy wstrętny obraz, a dotkliwy w skutkach dla obywateli, naszego żywota autonomicznego.

Krystynopol 5. Października 1885. (*Ofiara wydalań pruskich*). Dnia 29. Września przybył do Sielca wędrownik, 70-kilkoletni starzec. Przyjął go w gościnę na noc kowal miejscowy, i którego w nocy umarł. Z papierów przy zmarłym znalezionych okazało się, że była to jedna z ofiar, wydalonych przez rząd pruski, A n t o n i K w i a t k o w s k i, szlachcic, pochodził z okolic Birczy, weteran z r. 1831., służył w legionach polskich w r. 1848, a następnie brał czynny udział w r. 1863. Pogrzebem zajął się p. Dr. Marceli Medejski i ks. Bazyli Czernecki r. gr. Włościanie miejscowi, Rusini odprowadzili ciało do grobu. Ks. Czarnecki przemówił nad grobem mniej więcej w tych słowach:

„Oto patrzcie, chowamy człowieka w łachmanach, a przecież przeszłość jego była inna. Nie urodził się, ani nie żył w nędzy, walczył za swobodę i wiarę, bo swoboda każdemu człowiekowi jest droga. Strudzony ciężkim żywotem, zakończył żywot w nędzy. Nie widzicie tu ani rodziny, ani przyjaciół, zastąpmy mu więc tych drogich i zmówmy za duszę jego pacierz“.

(Ciekawą rzeczą, czy zmarły nie zgłaszał się do jakich komitetów? Zapytanie to czynimy dla tego, iż mamy inne dowody w ręku, że niektóre komitety, a pomiędzy tymi i lwowski, pooglaszały swoje zawiązanie się w pismach publicznych, a o ich czynnościach prawie nic nie słychać. Przyp. Red.)

Śniatyn, 8. Października.

W wskutek rezygnacyi Dra Beera z posady lekarza miejskiego odbyło się na dniu 15. września b. r. posiedzenie rady gminnej w Śniatynie, celem obsadzenia tej posady.

Ubiegających się o tę posadę było dwu, a to mianowicie miejscowy lekarz Dr. Mehrer, izraelita, który pomimo 9. letniej praktyki w Śniatynie nie zdołał sobie u publiczności uskarbić zaufania i sympatyi, i chrześcijanin Dr. Skórski pozostający obecnie

---

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

2)

(Ciąg dalszy).

Szkoły filozoficzne.

Czasy owe, w których na studya filozoficzne uczęszczałem, były szczytem demoralizacyi i ogłupienia myśli młodzieży. Ogłupiano młodzież niby to wysokiemi naukami, i pchaniem do głowy niemczyzny, szczególniej na studyach filozoficznych czyli liceum, które trwały przez dwa lata.

I mnie wypadło udać się do Przemyśla, chociaż wolałbym był chodzić na studya we Lwowie. Raz, że we Lwowie było łatwiej o jakąkolwiek kondycyę, i że łatwiej było zdawać egzamin, a chcąc poświęcić się na usługę ołtarza, dawano duchowne stypendyum 80 fl. m. k., co na owe czasy wystarczało do utrzymania się przez rok. Z trzech gimnazyów: przemyskiego, samborskiego i rzeszowskiego ściągała młodzież do liceum w Przemyślu.

Ubogi ojciec jak mógł, tak oporządził mię, opatrzył żywnością i chlebem i zawiózł do szkoły filozoficznej, nakazując, abym się nie wdawał z lampartami; ale szukając dogodnej dla mnie stancyi, właśnie wepchnął mię między lampartów, bo stancya była tania, t. j. papierka, czyli 1 fl. m. k. na miesiąc z opraniem. Zostawiwszy mi w dodatku 1 fl. na mięso, odjechał, a ja bez oka rodzicielskiego, pierwszy raz wolny, rozpocząłem studya filozoficzne. Miałem wtenczas lat 17.

Ulokowawszy się między kolegami, nie chcąc się od nich różnić, kupiłem sobie fajkę, laskę i tak rozpocząłem kursa. Było nas na pierwszym roku filozofii t. zw. „l o i c e“ przeszło 150 uczniów, z którymi trzeba się było powoli zaznajomić, wejść w związki przyjaźni i koleżeństwa.

Kto uczęszczał do liceum przemyskiego w owych czasach, ten i tu przypomni sobie tych srogich, nieprzyjaznych dla młodzieży nauczycieli, którzy byli wierutnymi oprawcami umysłu młodzieńczego. Straszny, zawsze z roczochranym włosem, zieiący formalnie grozą profesor matematyki, Pijar, Chlebaczek, czech, który dwa razy dziennie wstępował do sali, pisał i mazał jakieś rachunki na tablicy, których nikt nie rozumiał, tylko jak na tureckim kazaniu siedząc, słuchał go oczami, nie pojmując jego mazania. Algebra jego była niezrozumiała, lecz on nie dbał o to, tylko nakreśliwszy kredą na tablicy swoją prelekcyę, wynosił się do domu. Kto chciał z algebry otrzymać dobrą klasę, musiał szukać korepetora doskonałego, albo sam ślęczeć nad skryptami i mozolić się nad tą algebrą, o której bardzo słabe lub żadnego nie miał wyobrażenia. To też nie dziw, że przy egzaminie odpadało mnóstwo uczniów z wielką szkodą dla rodziców i dla społeczeństwa. Niektórzy spuszczając się na swój talent, i przepędziwszy 4 miesiące na lamparteryi, w ostatnim miesiącu wzięli się do nauki algebry. Wtenczas albo talent ich zwyciężył trudności i zdawali egzamin dobrze, albo też odpadali, zwłaszcza jeżeli ks. Chlebaczek przyszedł w złym humorze. Zwykle po południu było lepiej zdawać, bo profesor „mając w czubku“, folgował.

Ten Chlebaczek był przez długie lata postrachem dla młodzieży, aż się dopiero w r. 1848 usunął i wyniósł do Czech.

Ja w matematyce byłem dość mocny; uczyłem się, ale całej nie przeszedłem, bo mi koledzy, na stancyi ze mną mieszkający, przeszkadzali. Tylko z grubsza przebiegłem dość grubą księgę „Schulza - Strasznickiego Algebrę“, prawdziwą łamigłówkę. Lepsza była algebra „Apetaora“, ta przynajmniej była zrozumialszą. Mało się uczyłem, dlatego od kolegi, który ją kuł, (bo ja tej książki nie miałem) a kuł dzień w dzień i prawie na pamięć ją całą umiał, strofowany byłem, że się nie uczę. Na egzaminie jednak otrzymałem dobrą klasę i o mało eminencyi nie dostałem. Kolega zaś ten, drżąc przy tablicy, żadnego zadania nie rozwiązawszy, zaniósł trzecią klasę z płaczem do domu.

Miał na mnie też ks. Chlebaczek „rankor“, chociaż tego nie okazywał; za to, że razu pewnego podczas prelekcyi, któryś z swawolników trzpiotów rzucił na mnie bobem. Chcąc tym bobem odpłacić temu, na którego miałem podejrzenie, rzuciłem tak niezręcznie, że trafiłem w łysinę profesora. Ks. Chlebaczek odgrażał się z największem oburzeniem, za wyrządzoną mu zniewagę. Poszedłem po południu do jego domu, tłumacząc się i przepraszałem z największym żalem. Nie mścił się

na posadzie lekarza miejskiego w Zborowie. Pierwszy znalazł tylko słabe poparcie między swymi współwyznawcami, za drugim oświadczyła się prawie cała publiczność chrześcijańska i część izraelitów, wskutek czego nadanie tej posady ostatniemu zdawało się być zapewnione.

Lecz przedwcześnie ucieszyli się mieszkańcy Sniatyna, iż nabędą dla miasta trzeciego lekarza i że posada miejskiego lekarza dostanie się przecież raz chrześcijaninowi; na kilka dni bowiem przed posiedzeniem rady gminnej zagadały do naszych ojców miasta silniejsze argumenta jak sumiennie i dobro miasta, a mianowicie argumenta cyfrowe w postaci banknotów, guldenów ba nawet szóstaków z judaszowego worka, i cała sytuacya zmieniła się nagle nie do poznania. Dr. Mehrer pozyskał nagle mnóstwo stronników i zagorzała walka a la Bloch i Byk poczęła się toczyć w Sniatynie. Niektórzy czcigodni ojcowie miasta wypowiadali jawnie, iż otrzymali tyle a tyle za głos na Dr. Mehrera, oświadczając zarazem, iż gotowi są popierać kandydaturę Dra Skórskiego, jeżeliby otrzymali od niego więcej. Usiłowanych lecz nie doszłych do skutku podkupstw możnaby naliczyć mnóstwo; — i tak usiłowano pozyskać srebrnikami dla Dra Mehrera pp. radnych Edwarda Böhma, Mikołaja Kostyniuka, Mechla Liebmana, Jonasa Holdera etc., którzy jednak z oburzeniem podobnego rodzaju propozycye odrzucili.

I tak stało się, co w podobnych razach stać się musi; przy posiedzeniu rady gminnej otrzymał Dr. Mehrer 18, zaś Dr. Skórski tylko 15 głosów, a to mianowicie 13 chrześcijańskich i 2 izraelickie ze strony pp. radnych Mechla Libmanna i Jonasa Holdera, którym na dobru miasta i wygodzie jego mieszkańców więcej zależało, jak na ponętnych wnętrznościach judaszowego worka. Po stronie Dra Mehrera było dwóch chrześcijan... Tym sposobem przymrużyli nasi ojcowie miasta oko na tę okoliczność, że po 20. latach zajmywania posady lekarza miejskiego i szpitalnego przez izraelitę, przecież godziłoby się, ażeby ta posada dostała się raz w ręce chrześcijańskie, lecz też pominęli umyślnie dobrą sposobność nabycia dla miasta wielce pożądanego trzeciego lekarza a nadto okulisty, jakiego miasto wcale nie posiada, a trudno pomyśleć, ażeby obecnie chciał jeszcze taki lekarz osiąść w Sniatynie bez wszelkiego zabezpieczenia bytu.

Były tu i interesy innych osób w grze, które lękają się przybycia trzeciego lekarza, jak zły duch święconej wody, ale lepiej zamilczeć o tem. Dodajemy w końcu, że u nas funkcyonuje jeszcze ciągle stara rada, która dotychczas zdołała się utrzymać, gdyż przeciw zeszłorocznym wyborom założono protest, który odniósł taki skutek, iż zniesiono wybory i właśnie jesteśmy w przededniu nowych wyborów do rady gminnej, których atoli dotychczas nie rozpisano. Miasto z upragnieniem czeka na tę chwilę, gdy zadzwonią w dzwon pogrzebowy obecnej radzie, a da Bóg, może i judaszowemu workowi.

(Po rozesłaniu pierwszego Nru „na okaz“, otrzymujemy nietylko z kraju, ale i z innych stron, z zagranicy mnóstwo listów od wysoce zacnych obywateli, świadczących o serdecznej życzliwości dla odrodzonej *Strażnicy pol.* Jak się na to pismo zapatrują, niech świadczy korespondencya, którą podajemy. Z naszej strony możemy tylko jeszcze raz przyrzec, że nasze hasło: Usque ad finem“, dopóki głosu w piersiach starczy, nie pozostanie czczym frazesem. — Red.)

Nowy Sącz 13. października.

Szanowny Panie Redaktorze Dobrodzieju!

Może uwagi poniżej skreślone nie będą dla zmartwychwstającej *Strażnicy* niestósownemi, więc proszę o ich zamieszczenie; później przeszlę o sprawach miejskich, szkolnych i t. d.

Ze szczerą radością witamy najprzód powracającą do życia *Strażnicę* i życzymy jej z duszy, by usque ad finem zwycięzko służyć mogła dobru Ojczyzny; zaś Szanownemu Redaktorowi niechaj Bóg udziela siły i wytrwałości w rozpoczętej na nowo walce z rozwielmożniającą się co raz bardziej niemoralnością.

Gdyby owi wrzekomi kierownicy opinii publicznej zajmowali się więcej wykorzenianiem złego pośród naszego społeczeństwa, niż obcą nam lub obojętną wielką polityką całego niemal świata; gdyby mniej blagowano postępem, a więcej szczerze i energicznie wyrabiano siły moralne, hart duszy, męzkość prawdziwą charakteru, wszczepiano odrazę do dumy, samolubstwa, nikczemnego służalstwa itp, brzydot, wznieślibyśmy się znacznie i spotężnieli, a od cnót polskich prędzej odbiłyby się pociski wrogów, niż od skarg słabych i małodusznych. Jeżeli przez moralny upadek zgotowano nam dolę obecną, to tylko znowu przez podniesienie strony moralnej, przez wewnętrzne odrodzenie się, będziemy mogli zapewnić sobie pomyślniejsze losy.

Niestety jednak zbyt zaślepieni własną miłością. zwykliśmy wszelką nami poniewierkę, każdy ucisk obcym tylko przypisywać, jak gdybyśmy spodziewać się mogli, że z rąk moskiewskich lub krzyżackich niebieskie na nas spadać będą migdały. Żadna polska gazeta nie powstrzyma od nas srogiej ręki ks. Bismarka lub innego dręczyciela naszych rodaków, lecz powstrzymaćby mogła nie jedną krzywdę, nie jedną korrupcyę w kraju, siejące złe, gdyby się chciano więcej zajmować plewieniem chwastu we własnym ogrodzie.

A przecież karcenie, piętnowanie mnóstwa nie tylko na szkodę współobywateli, lecz i na hańbę kraju popełnianych czynów, tembardziej jest wskazanem, że z dawniej modnego krzyku o oświatę tylko jakieś głuche zaledwie pozostało echo; lud nasz zawsze ciemny, nie zdolny pomnożyć moralnej siły obywatelstwa krajowego, nie wpływa tak jak to dawniej bywało na większą pomyślność naszą. Wiedzą dobrze o naszych wadach nieprzyjaciele polskości i wyzyskują takowe dla chłostania nas nieludzkiego.

A więc raz jeszcze szczerze witamy tę choćby tylko „w glansowanych rękawiczkach“ podjętą walkę *Strażnicy* ze złem, wymagającem koniecznej obróży.

Ziemie polskie.

W Gliwicach, w Górnym Szlązku, odbył się 9. Września rb. wiec katolików szlązkich.

Dwa tysięce było uczestników. Pomiędzy rezolucyami, uchwalono, ażeby w szkołach Górnego Szlązka uczono religii po polsku i języka polskiego.

Ks. Engel powiedział na końcu pięknej swojej mowy: „Język i wiara są ze sobą nierozdzielnie połączone i obu ich w równym stopniu bronić trzeba. Dla tego zostańcie do śmierci wiernymi katolikami i strzeżcie i szanujcie wasz najdroższy skarb: mowę ojczystą. Niech żyją prawa nasze! Bóg z wami!“

Ks. Bączek, utalentowany mówca i poeta, tych Polaków szlązkich, co się sami niemczą. „Rodzice, rzekł, mają święty obowiązek, żeby dzieci swe sami uczyli czytać po polsku, skoro ich w szkole nie uczą. Każdy ojciec powinien sobie powiedzieć, że dzieci jego muszą umieć po polsku czytać i pisać i tak długo je prośbą i groźbą niewolić, póki się nie nauczą czytać pieśni kościelnych. Trzymać się polszczyzny! oto hasło dla wszystkich.“

Poseł Zaręba, członek Centrum w parlamencie berlińskim, przemawiał po polsku o sprawach parlamentarnych i streścił swą mowę, powiedzianą w Berlinie, w której dopominał się o prawa języka ojczystego.

Drugi poseł Szalsza, także członek Centrum, mówił po polsku, ale źle i zachęcał wyborców, ażeby jak dotąd wybierali kandydatów katolickich.

Ks. Janas z Wrześni wyraził pozdrowienie, jakie Wielkopolanie przysyłają braciom na Szlązku.

Major dymissjonowany Szmula, obecnie gospodarz, mówił po polsku prześlicznie, skarząc się, że ludowi szlązkiemu brak jest narodowych przewodników, gdy ich znajdą, utworzą jak Czesi silne społeczeństwo. Odpierał zarzut tak zwanej agitacyi wielkopolskiej na Szlązku; Szlązacy nie chcą nikogo polszczyć, chcą tylko własną narodowość polską i język macierzyński zachować. Zaklinał aby Szlązacy szli zgodnie ręka w rękę i zapewniał, że narodu żadna obca potęga niszczyć nie może, byleby tylko naród sam się nie niszczył i grobu sobie nie kopał.

Ks. Lubecki obdarzony niezwykłym darem wymowy, wyraził jak najlepsze nadzieje w przyszłość ludu polskiego na Szlązku Górnym i zapewnił, że choćby panowie od zielonego stolika bili na niego i nogą ze złości tupali, to polskiej mowy na Szlązku nie zgniotą i nie wydrą.

Z tego krótkiego sprawozdania wykazuje się, że są lubo w niewielkiej liczbie na Górnym Szlązku szlachetni i rzeczywiści obrońcy polskiego ludu, którym niemieccy panowie pogardzają, uciskają i prześladują od wieków.

Jeden z mowców zachęcał, ażeby lud nie zrzucał narodowego ubrania, należałoby wszędzie u nas lud zachęcać do zachowania ubiorów narodowych.

Z Wilna. Stolica Apostolska zgodziła się na czasowego administratora dyecezyi wileńskiej w osobie prałata Zdanowicza, wskazanego na tę godność przez metropolitę ks. Gintowta. Przebywał on stale w Petersburgu jako delegat w dyecezyi Wileńskiej do Kollegium petersburskiego. Jest to prałat z czasów jeszcze biskupa Krasińskiego i potrafił nie narazić się rządowi i nie wejść w kompanię zepsutych i upadłych moralnie księży, którzy rządzili dyecezją razem z prałatem Zylińskim. Można spodziewać się, że pokieruje dobrze dyecezją.

Jenerał-gubernator wyznaczył rządową komisyę do przejrzenia archiwum konsystorza wileńskiego i określenia jego wartości. Członkowie tej komisyi po-

---

wprawdzie sam, ale drugiego profesora, u którego mieszkał, podżegał przeciwko mnie.

Drugim strasznym dla młodzieży nauczycielem był także Czech, Franz Kreyczy. Blondyn, niskiego wzrostu, chytry jak lis, skryty i w najwyższym stopniu obłudnik; płakał nieraz łzami krokodyla, a szkodził młodzieży. Ten miewał prelekcye z filozofii. Z powodu dziwactwa swego w egzaminowaniu i klasyfikowaniu, miewał nieraz ciężkie przeprawy z młodzieżą. Człowiek sam bez wiary, którą chciał między młodzieżą stłumiać, od władzy duchownej przestrzegany, utyskiwał nieraz na innych pisarzy filozofii, bo swojej nie śmiał tradować. Temu dziwakowi także trudno było dogodzić; żądał, aby każdy tak snuł wątek myśli swoich, jak on w swych prelekcyach niezrozumiałych wykładał. Raz, że młodzież w niemieckim języku, a do tego filozoficznym, zupełnie była ciemną, a powtóre, nie stosował swych prelekcyj do pojęcia galicyjskiej młodzieży.

Filozofia Kreyczego była drugim ćwiekiem dla łba polskiego, to też wielu odpadało. Gdy przyszło do egzaminu z pierwszego półrocza, Kreyczy przed południem sypie dwójki bez miary. Jeden czy dwóch tylko z poprzedników moich, a było ich 14, otrzymało zaledwie pierwszą klasę. Przyszło nawet do awantury, bo jeden pokrzywdzony porwał za krzesło na p. profesora, co rozjątrzyło go do ostateczności. Już miałem być wezwany, ale widząc usposobienie profesora, przyłożyłem chustkę do nosa, dodawszy niby krwotoku, wymknąłem się z klasy i uciekłem do domu. Zgłosiłem się do egzaminu po obiedzie, tłómaczac się krwotokiem przedpołudniowym. Kreyczy nie chciał mię słuchać, musiałem dostarczyć zaświadczenia od owego doktora, i podawać o pozwolenie zdawania egzaminu do dyrektora filozofii, t. j. do księdza biskupa ruskiego, błagać i prosić go, abym nie stracił roku. Uzyskawszy pozwolenie, staję do egzaminu, a było nas 5ciu. Kreyczy w złym humorze. Odpowiadam na jego pytania dość trafnie, w jednem tylko nie do jego woli. Niegodziwiec daje mi drugą klasę. Nadaremnie przedstawiam mu, że się uczyłem, że rozumiem, że mu trzy pytania odpowiedziałem dobrze, a w czwartem poprawiłem się. Nic to nie pomogło, dwójka została. Pomścił się po prostu za Chlebaczka. Drugi raz zdawać nie było wolno. Ta nieszczęsna dwójka wiele mi złego wyrządziła.

Trzecim nauczycielem był katecheta ks. Kubajewicz, rusin. Wówczas ruski lub polski katecheta nie stanowili różnicy w wierze jak dziś, bo skoro wiara jest katolicką, to wszystko jedno, czy ją ksiądz greckiego obrządku czy łacińskiego wykłada. I nam też wszystko jedno było, że nam Ks. Kubajewicz, rusin, wykładał, bo nie po rusku, nie po szyzmatycku się do nas odzywał, tylko po niemiecku w duchu katolickim. I ten ksiądz był postrachem dla młodzieży, bo czasami miewał swoje dziwactwa, a druga klasa od niego, to była śmiertelnym ciosem dla młodzieńca. Rzadko kiedy poprawił i trzeba się było wynosić, bo rok stracony. Dlategoteż obawiano go się bardzo i każdy starał się o pozyskanie jego względów, to przez trwałe i spokojne zwracanie uwagi na jego prelekcye, to przez pilne uczęszczanie do kościoła w niedzielę, gdy w kościele ks. Franciszkanów odprawiał nam Mszę w greckim obrządku. Biada temu, kto nie bywał w kościele, albo kogo zobaczył pijanego. Wtenczas gdyby i wysokie talenta posiadał, to mu zapytaniami tak zakręcił głowę, że młodzieniec nie zdołał odpowiedzieć; jak n. p.: „Powiedz mi pan, fundament fundamentu objawienia bożego?“ — „Na jakiej zasadzie stanowi się loiczna możebność cudów Jezusa Pana?“ — Albo: „Co mówi św. Marek o Zmartwychwstaniu Jezusa Pana, w jakim rozdziele i w którym wierszu?“ — Albo na drugim roku, gdy kazał cytować Ojców św., lub listy Pawła św.

Mimo tego dziwactwa i zawziętości, był on dobrym kapłanem, a nawet gdy mu polecano z wielkiemi obietnicami szpiegostwo polityczne młodzieży, odrzucił je z oburzeniem. A jednak ruska kapituła prześladowała go i długie lata nie zaszczyciła go orderem kanonickim. Cześć jego pamięci.

Czwartym profesorem był Niemiec, niejaki Eitel, przybyły z Wiednia. Suchy, blady, z piwnemi oczami, twarz cała ogolona — nieprzyjaciel młodzieży. Wykładał on język łaciński i grecki filologicznie, ale z taką pedanteryą, tak rozwlekle, chociaż może umiejętnie, że trudno było to wszystko spamiętać. To też sypały się dwójki jak grad. Niejeden mając nawet eminencyę, lub wszystkie pierwsze klasy, dostawał dwójkę. Oburzenie rodziło kłótnie i skandale. Któryś mu uczeń kałamarzem w łeb palnął, drugi wylał mu kałamarz na katalog, inny podniósł laskę na niego, poczem Niemiec

wybierali z archiwum to, co zdało się im ciekawem, złożyli do koszów i zawieźli do archiwum centralnego. Wybrali wszystkie nadania i erekcye kościołów, wizyty biskupie, dokumenta tyczące się Unii, i t. p. ważne dokumenta. Co z nimi zrobią? łatwo się domyśleć. Archiwum Konsystorsa w Wilnie już więcej tych akt nie zobaczy.

Zabór ten archiwalny przekonywa o niebezpieczeństwie, w jakiem się znajdują wszystkie archiwa i biblioteki w kraju. Co najważniejsze dokumenta zabrane już, lub zabrane będą. Jedynie bezpieczny dla nich przytułek jest w Narodowem Muzeum w Rapperswylu, a jednak znajdują się ludzie, którzy, jak bibliotekarz Estreicher, nie pojmują wcale potrzeby zagranicznej instytucyi, któraby przyjmowała w depozyt dokumenta i rękopisma, narażone w kraju na zabór i zniszczenie.

Dobrjański Mirosław, syn Adolfa, perekińczyk i szpieg, piastujący urząd tępiciela Unitów w Królestwie polskiem, za co pobiera 3.000 rubli pensyi, koszta podróży, gratyfikacye i ordery, wysłanym został przez generał-gubernatora Hurko do Lublina. Przybywszy na miejsce, po wysłuchaniu relacyi gubernatora i policmajstra, kazał 13 Sierpnia rb. otoczyć wojskiem dom przy ulicy św. Ducha, sam zaś w asystencyi 4 urzędników policyjnych wszedł do mieszkania Jana Borysiewicza, utrzymującego magle, którego wraz z znajdującymi się podówczas interesantami (dwie służące i jednego człowieka kręcącego korbą u magli) pod silną strażą odprowadzić kazał do ratusza. Następnie zrobił rewizyę mieszkania i zabrał książki do nabożeństwa, krucyfiks, kilka obrazów świętych, gromnicę, różaniec, ornat, stułę i komeszkę. Na ratuszu po przedwstępnem badaniu służące uwolnił, a Borysiewicza oraz człowieka, który korbą kręcił, poddanego austryackiego, zatrzymał w kozie, podejrzywając pierwszego, że jest przewodnikiem w sprawach unickich, drugiego zaś, że jest przebranym księdzem.

Jakie czasy! podejrzenie o sprawowanie obrządków unickich wystarcza do pozbawienia człowieka wolności. Jak za czasów Dyoklecyana aresztują za posiadanie ornata, różańca i książki do nabożeństwa.

Ów Dobriański stara się o pozwolenie swobodnego przebywania w Galicyi.

Polacy na obcych ziemiach.

O 4tej godzinie po południu 10. Sierpnia, zakończył życie przedostatni z Polaków osiadłych w Turynie, Doktor medycyny, Baron F r a n c i s z e k U n g e r n S t e r n b e r g de P ü r c k e l, ostatni potomek linii katolickiej tego rodu, rozgałęzionego w Estonji.

Urodzony w dziedzicznych dobrach Kamionka, na Białorusi, w Mohylewskiej gubernii; z Maryi Grycewiczownej i Konstantego Ungerna, b. marszałka szlachty.

S. p. Baron Franciszek, po wyjściu z Uniwersytetu Dorpackiego w r. 1864, przez rok następny przygotowywał się w Petersburgu do objęcia katedry Botaniki w tamtejszym uniwersytecie. W tym celu wyjechał na dalsze nauki, gdzie został mianowany członkiem „K. k. Zoologisch-Botanische Gesellschaft". W zimie 1868 r. przybył do Neapolu, zkąd po kilku miesiącach pobytu wyruszył na studya botaniczne. Od skłonów Wezuwiusza przeszedł on piechotą cały łańcuch Apeniński, herboryzując florę Włoch południowych i Toskanji.

Po dwóch latach uczonej wędrówki, Bar. Ungern zatrzymał się w Turynie, gdzie zajął się systematycznem ułożeniem bogatych zbiorów botanicznych. Wszakże po kilka razy na rok wyjeżdżał on na herboryzacyą w Alpy.

Rezultatem takowych wycieczek pozostał przepyszny zielnik flory alpejskiej, jakiego przed nim nikt nie zebrał. Pośród tych zajęć, wzięty jako znakomity lekarz, Baron Ungern był wysoko ceniony przez tutejszy fakultet lekarski, dla którego był on niezastąpioną pomocą przy tłumaczeniu niemieckich autorów na włoski i włoskich publikacyj medycznych na język niemiecki.

Chłopięciem wychowany u „Babci Staniszewskiej", zmarły Bar. Ungern zachował do zgonu czystemi uczucia miłości kraju, nad krzywdami którego i niewolą bolał stęskniony. Milczące cierpienia duszy ujawniał on w artystycznej grze na skrzypcach; zwykle rzewny nastrój sentymentu obok nagłych wybuchów energii i siły tonu, przypominał porywającą grę Apolinarego Kątskiego.

W takich warunkach psychicznych, tkliwego serca i delikatnej natury, Bar. Ungern dał za wygraną profesorskiej karyerze rządowej w Rossyi, skazując się na dobrowolne wygnanie i na jego skutki.

Przez lat 16, o ile męcząca praca umysłowa, o tyle niewdzięczna, była mu jedynym orężem w boju z tęsknotą. Ta sroga wiedźma naszej braci tułaczej i tym razem zmogła jedną więcej ofiarę patryotycznej dumy; zmogła ją pod postacią suchot.

Po kilkunastu miesiącach choroby, Bar. Ungern zgasł w jednej chwili, przy pracy, prawie nagle, bez żadnych cierpień konania.

Szczęśliwy!!

Ręka przyjaciela przymknęła mu powieki, a dłoń w d z i ę c z n e g o ziomka posypała je szczyptą rodzinnej ziemi.

Obsypane kwiatami zwłoki, staraniem kilku życzliwych kolegów zostały zabalsamowane i na życzenie zmarłego złożone obok zwłok przyjaciela, porucznika okrętu Garavoglia, którego tragiczna śmierć przy robotach triangulacyjnych w okolicach Specyi, pozbawiła marynarkę włoską jednego z najdzielniejszych oficerów. Obydwaj przyjaciele spoczęli obok siebie na cmentarzu w Livorno-Vercellese, o parę godzin pod Turynem.

Zmarły Baron Ungern pozostawił bezdzietną wdowę, wzór cnoty i małżeńskiego poświęcenia, nieodstępną towarzyszkę wszystkich wycieczek i prac uczonych męża.

Józef Kalisz, Polak, rodem z Inowrocławia, w Poznańskiem, znakomity mozaista, umarł w pierwszej połowie Września 1885 roku w Anglii, dokąd był zmuszony uciec przed Niemcami, jako biorący czynny udział w wypadkach powstania wielkopolskiego 1848 r. Z liczby prac jego, główniejsze w świecie naukowem są: *„Path and goal; Hebraew grammar"* i *„Commentar an the pentateuch"*.

W Paryżu dwaj ziomkowi nasi, pp. Bolesław Matuszewski i Aleksander Haberbusz, otworzyli specyalne przedsiębiorstwo pod firmą *Compagne internationale d'échantillons* (Towarzystwo międzynarodowe próbek), mające na celu dostarczanie prób, modeli, katalogów itp., ukazujących się w Europie i w Ameryce najnowszych wynalazków i nowości, wskazywanie wszelkich źródeł handlowych, zawiadamianie o najświeższych wynalazkach, odkryciach i ulepszeniach, wchodzących w zakres handlu, przemysłu, nauki i sztuki, jako też wyrabianie patentów na wynalazki we wszystkich krajach, oraz ułatwianie ich kupna i sprzedaży. Adres przedsiębiorstwa 16. passage Saulnier.

Odezwa Towarzystwa robotników polskich w Londynie do wychodźtwa polskiego w Anglii.

Rodacy! — Dwa lata minęło od czasu założenia naszego Towarzystwa. Podczas tego perjodu staraliśmy się stosownie do ustawy naszej oświecać jedni drugich, jakoteż i materyalnie wzajemnie się wspierać. Usiłowania nasze nie wydały jednak owocu, jakiegośmy się spodziewali; w części dla tego, że dotąd nie mamy znacznej liczby członków stałych, a ci co Towarzystwo składają, są po największej części niezamożni i będąc w niewystarczającej liczbie, nie podobnia im było dopiąć zamierzonego celu.

Postanowiliśmy przeto udać się do ogółu Wychodźtwa, aby mu przypomnieć, że czas już wielki obudzić się z uśpienia, w jakim od długiego czasu zostaje, że czas pokazać światu, że jeszcze żyjemy i dla Ojczyzny pracować chcemy, że czas wielki, aby Wychodźtwo Polskie w Anglii, bez różnicy religii i opinii politycznych, zechciało zszeregować się w jednolite ciało, jako wolni z wolnymi i równi z równymi — a tak związani węzłem braterstwa stali się użyte, czynymi Ojczyźnie i sobie samym.

Zaprawdę, w jednej tylko Anglii Wychodźtwo Polskie nie ma żadnego przedstawicielstwa; w każdym prawie innym kraju, gdzie jest choćby tylko kilku Polaków, gromadzą się, tworzą Towarzystwa i pracują dla dobra ogółu jużto politycznie, jużto naukowo. Nie hańbąż to jest dla nas w Anglii zamieszkałych, że dotychczas ani dla Ojczyzny, ani dla siebie samych nic nie zrobiliśmy? Byłożby to wynikiem złej woli? — Wątpimy — bo nie przypuszczamy ani na chwilę, aby w sercach nas wszystkich, a przynajmniej przeważnej większości, wystygło uczucie miłości Ojczyzny i braterstwa; sądzimy raczej, że brak inicyatywy, a nie niechęć, jest przyczyną pozornej obojętności znacznej większości Wychodźtwa.

Rodacy! — Robimy początek, — od was zależy poprzeć nasze usiłowania.

Czas pokaże, czy głos nasz będzie głosem wołającego na puszczy.

Aby dać wam sposobność do odpowiedzenia na tę naszą odezwę, zamierzamy zwołać ogólne Zgromadzenie Polaków w Londynie i okolicach jego zamieszkałych, na które zapraszamy na niedzielę 18. Października 1885 r., o godzinie 3. z południa w domu Austro-Hungarlan Club, 60 Greek street, Soho square, dla obradowania nad projektem utworzenia Związku ogólnego Wychodźtwa Polskiego w Anglii; główniejsze punkta tego projektu poniżej podajemy.

Tusząc sobie, że tych słów kilka nie przebrzmi bez echa, zasełamy wam serdeczne i braterskie pozdrowienie.

---

się zabrał i uciekł. W nocy wybito mu okna. To poskutkowało. Przestraszony udobruchał się, nie mordował tak młodzieży, a niedługo potem, wyniósł się „nach Draussen".

Piątym profesorem był Wisłocki, „fujarą" zwany. Ten wykładał historyę naturalną i rolnictwo. Był to Rusin, przysadkowaty, z faworytami, z wysokiemi kołnierzykami, podrzynającemi mu prawie uszy, w butach pilśniowych. Wykładał on młodzieży pod wąsem będącej, tę najpożyteczniejszą naukę, którą dziś dzieciom do wiedzenia podają. Filozof dopiero dowiadywał się o rozmaitych stworzeniach, roślinach i minerałach. Przedmiot jego był zajmujący chociaż nie łatwy, a kto go sobie kaptował, przysłuchując się pilnie, lub zapytując go, był pewnym swej klasy, gdy przeciwnie, groził niepilnym po polsku (bo miał tę odwagę): „żebyś Pan miał łeb taki jak ten piec, to tego przedmiotu nie zdasz", lub mięszał polszczyznę z niemieczczyzną. Był lubiany i poważany. Od niego miałem eminencyę z historyi i rolnictwa.

Po egzaminach 1. kursu, my stypendyści, którzyśmy musieli do seminaryum chodzić co czwartek na mszę do kaplicy, dostawaliśmy półroczne stypendyum. Z ciężką biedą i ja dostałem, bo mi „dwójki" przeszkadzały. S. p. zacny ks. infułat Feigel, który wówczas był rektorem, dobrze młodzież duchowną prowadził. Mnie nie chciał dać stypendyum, ale gdy się mu wytłumaczyłem, i przyrzekłem w drugiem półroczu przysiądź fałdów i lepiej zdać egzamin, zawiązał mi 120 cwancygierów (bo wówczas było srebra pełno w kraju) w chusteczkę, a dając mówił: — „Weź to moje dziecko, nie strać, i nie udawaj się między żydy, ale oddaj ojcu, a on ci sprawi co będzie potrzeba". Zacny ten prałat srogie od rządu ponosił prześladowania, ale światłość jego i cnoty umiały to wszystko znosić z chrześcijańską rezygnacyą. Wysokiej postawy, wysokiego czoła, nader przyjemnego oblicza i wymowy ujmującej, słowem, kapłan najszlachetniejszy. W r. 1809 był proboszczem w Drohobyczu, a będąc wiernym Ojczyzny synem, błogosławił rodakom, przechodzącym przez miasto w owym czasie. Niemcy mu to za złe wzięli i doku czali tak długo, aż porzucił probostwo i przeniósł się na kanonię przemyską. I tu pracował, był doradcą doświadczonym trzech biskupów, ośm razy przedstawiany jako kandydat na biskupstwo, zawsze był odrzucany. A był tak przedstawiany u rządu, że cesarz Franciszek miał mawiać: — „Ten człowiek potrzebuje korony polskiej, a nie biskupiej infuły". Aż przecież chcąc mu osłodzić niby jego dolę, dano mu infułę i pastorał, jako najstarszemu prałatowi. Przezacny ten mąż i kapłan umarł 1836 r. z wielkim żalem duchowieństwa i całego miasta. Na pogrzeb jego zjechało się wiele szlachty, wyruszyła cała publiczność przemyska i z okolicy, a nawet żydzi, których także wspierał w ubóstwie. Ale też i sam umarł biedniuteńki. Na cmentarzu wśród rzewnego płaczu zdarto oponę z trumny i porozdzielano między patryotów, co bardzo oburzyło starostę Czecza i jego przybocznych. Cnocie oddano cześć.

Ale wracam do rzeczy. Wyszedłszy z owymi zawiązanymi cwancygierami od księdza rektora, zastałem pod seminaryum czekających kolegów i żydków. Pierwsi ciągli mię do cukierni, drudzy do sklepów. Weszliśmy do cukierni i w godzinę poszło 30 cwancygierów, a byłoby może i więcej się wysypało, ale się opierałem i czemprędzej wyniosłem do domu. Zapłaciłem gospodarzowi stancyę, kupiłem sukna na surdut i spodnie, nową czapkę, buty itp. i w kilka dni nie było już pieniędzy. Ale że w krótce nadchodziły święta Wielkanocne, spychało się z dnia dzień, aż się zbliżyła pora do wyjazdu na święta. Gdybym był wiedział co mię w domu czeka, byłbym został w Przemyślu, albo gdzie do kolegi wyjechał. Zastałem w domu największy smutek i zmartwienie. Ojciec chorował długo obłożnie na reumatyzm, z braku zarobku panowała okropna nędza, a tu syn miał przywieść pieniądze, lecz przez sukna i tuzina guzików nie przywiózł nic. Nadaremnie się tłumaczyłem, że porwano mię prawie przemocą do cukierni, że zapłaciłem stancyę, że sprawiłem odzienie itd. — nie zaspokoiło to ojca. Jakież było moje zdziwienie, gdy na drugi dzień raniutko ojciec mój nie pytając, że ja filozofem, otrzepał mię dobrze kańczugiem za stratę pieniędzy i że nie otrzymałem dobrych klas. A ja jako winowajca milcząc, z pokorą przyjąłem karę, całowałem ojca po rękach, przyrzekając, że już tego więcej nie zrobię, i że się w drugiem półroczu w pilności poprawię. Chociaż może nie ze wszystkiem zasłużyłem na oną karę, przyznałem jednak ojcu słuszność, a wróciwszy do szkół, czepiłem się mocno książki. Nieraz nie miałem co do ust

W imieniu Towarzystwa Robotników Polskich w Londynie:

Prezydujący: J. Tolkemit. *Sekretarz:* Józef Krzanowski.

Londyn, 2. Sierpnia 1885 r.

Projekt utworzenia związku ogólnego wychodźtwa Polskiego w Anglii.

1) Wychodźtwo Polskie zawiązuje się w jednolite Ciało, składające się z Polaków i Polek, bez różnicy religii i opinii politycznych.

2) Celem Związku jest: *a)* Wzajemne nauczanie. — *b)* Wzajemne przestrzeganie moralności. — *c)* Wzajemna pomoc materyalna. — *d)* Zabawy towarzyskie. — *e)* Podtrzymywanie solidarności narodowej na podstawie Unii Horodelskiej.

3) Założenie czytelni dla członków Związku.

4) Utworzenie początku Skarbu Narodowego, już to ze składek, na ten cel przez członków opłacanych, jużto z dochodów zabaw, odczytów i t. d. i wszelkich innych źródeł, jakieby od czasu do czasu odkryć się dały.

N.-B. — Wszelkie listy, telegramy, i t. d., dotyczące odezwy, mają być przesłane *franco* pod adresem: Mr. J. Tolkemit, *13, Oberstein Road, New Wandsworth, London.*

Nekrologia.

Od kilku tygodni, jeżeli się ktoś budzi i wychodzi na miasto, to przedewszystkiem zwraca uwagę na pierwszy lepszy narożnik domu, oklejony plakatami, czy nie ujrzy znowu hiobowej wieści, tej lub owej szlachetnej duszy, którą się nauczył czcić i szanować, jako łączącą go z przeszłością narodową. To cośmy donieśli w przeszłym Nrze pod tą samą rubryką, zamienia się prawie na codzienne wrażenie, gdy nietylko we Lwowie, w Galicyi, ale ze wszystkich ziem polskich i z tułactwa czytamy o resztkach naszych starych wiarusów, którym tak pilno chować się do grobu.

I oto znowu we Lwowie oddaliśmy ostatnią posługę ś. p. **Hieronimowi Kunaszowskiemu**, oficerowi b. wojsk polskich z r. 1831., Prezesowi Rady narodowej brzeżańskiej w r. 1848, członkowi organizacyi Narodowej w r. 1863, i wiceprezesowi Towarzystwa opieki nad weteranami polskimi. Żołnierz ten i obywatel urodził się 1806 r. w Żelitorach, a zakończył żywot dnia 1. b. m. we Lwowie.

S. p. Hieronim umierał z nadzwyczajną przytomnością umysłu. Wydawał sam dyspozycye do swojego pogrzebu, żądając wyraźnie prostej trumny dębowej i pochowania zwłok jego obok towarzyszy broni.

Za nim poszedł do grobu prawie równocześnie **Izydor Kruszewski**, żołnierz z r. 1831, porucznik gwardyi narodowej w r. 1848.

Lecz nietylko starzy żołnierze nas opuszczają, bo dążą do spoczynku w łonie ziemi i daleko młodsze siły, których żywot był apostolstwem narodowem.

Gdy liczny orszak żałobą przejętych obywateli odprowadzał zwłoki ś. p. Kunaszowskiego, tuż za nim postępował drugi, nie mniej liczny, różniący się jedynie tem, iż oddająca rzesza ostatnią posługę ziemską, składała się co najmniej z tysiąca młodzieży obojga płci Polaków i Rusinow. Trumna obsypana była kwieciem i wieńcami, a były tam i mirty kwitnące, które na trumnie dziewicy złożyli rodacy. — I któż to była ta dziewica, która tak rychło ten padoł płaczu i smutnej naszej doli opuściła? — Oto:

Marya Bartus,

która jako dziewica polska, kobieta, natchniona od dzieciństwa duchem wieszczym, zrozumiała swoją misyę ziemską — apostolstwo, niem jedynie żyła i wytrwała aż do grobowej deski.

S. p. Marya nie wyrosła jak to mówią: ani z roli ani z soli, lecz wyssawszy z piersi matki wielką miłość Boga i Ojczyzny, słaba istotka, ogołocona nawet z najzwyklejszych środków, ułatwiających żywot codzienny, ciężką i trudną, a szlachetną walką zdobywała zaledwie najskromniejszy byt, aby żyć i spełniać swoje posłannictwo. Nie dziwimy się temu jednakowoż, gdy zauważymy, że nietylko z piersi macierzyńskiej, ale i po rodzicu oddziedziczyła święte ideały, które ją prowadziły po prostej drodze obowiązków i chroniły od zejścia na manowce.

Rodzic ś. p. Maryi był malarzem i przepędził długie chwile żywota w murach Spilbergu i Kufsteinu, a zakończył żywot, gdy ś. p. Marya była jeszcze dzieckiem. I oprócz biednej matki, nikt się na nią nie opiekował.

Urodziła się we Lwowie, dn. 10. Stycznia 1856 roku z ojca Stanisława i Henryki ze Szczepańskich. Są na to dowody, że ś. p. Marya mało co była starszą od Urszulki wieszcza z Czarnego lasu, gdy jej dziecinna główka i natchnienie zaczęły tworzyć pierwsze poetyczne rymy. Liczyła wtenczas zaledwie rok szósty. Już w r. jedenastym życia, stworzyła pierwszy utwór o zakroju dramatycznym. W piętnastym zaś roku nie można już jej było odmówić jeniuszu poetyckiego. Utwory z tych czasów znamionują nietylko znakomity talent, ale wczesny rozwój myśli i ducha. Gdyby śp. Marya urodziła się była w lepszych warunkach bytu i otoczona szerszą opieką, aniżeli biednej matki, bezsilnej w środkach, to imię młodziuchnej poetki byłoby zasłynęło, jak szeroka ziemia polska. Młoda lutnistka nie mogła się jednakowoż oddać fantazyom, a nawet na natchnienia swe zmuszoną była kłaść często hamulec, aby zdobyć to, co jest niezbędnem w codziennym żywocie. Oddała się więc zawodowi, który najwięcej się zdawał być spokrewnionym z jej duszą. Postanowiła wykształcić się na nauczycielkę ludową i w tym zakresie siać ziarno zdrowe i pełną dziewiczą miłością rzucane pod strzechy wiejskie.

Nareszcze przyszedł ten czas, gdy po złożeniu żądanych egzaminów uzdolnienia, powierzono jej szkółkę wiejską. Wprawdzie i ten ideał rozczarował ją na pierwszym kroku, gdy się przekonała, że i tu z trudnością jej wystarczą środki chociaż na najskromniejszy kawałek chleba, aby wyżywić siebie i biedną matkę. W pustej chacie, nazwanej szkołą ludową, wiodła żywot ciężki. Często bardzo siły fizyczne nie dopisywały, ale czegoż nie zwycięży silna wola takiej polskiej dziewicy, jaką była ś. p. Marya Bartus.

Nędza materyalna nie byłaby jej też zastraszyła, gdyby się z takową nie było połączyło daleko straszniejsze doświadczenie moralnego bolu, które na tę czystą duszę spadło w brutalny sposób i objawem swym nie zraniło jej śmiertelnie. A stało się to ze strony tej, która bezpośrednio ma prawo czuwać nad dolą nauczyciela ludowego i nauczycielki.

Niestety zdarza się i to, że władza nad szkołą wiejską dostaje się ludziom, którzy zapominają o Bogu, sumieniu i wszelkiej uczciwości. S. p. Marya odparłszy skutecznie jak prawdziwa bohaterka-męczennica napaść, nie uważała nawet za godne siebie, aby zanieść skargę na zamach zbrodniczy. Opuściła bezzwłocznie to miejsce, w którem tak śmiertelnie usiłowano ją zranić. Dostała drugą szkółkę pod Lwowem, lecz i tu wkrótce się przekonała, że nie sierocie być nauczycielką bez ojca, jeżeli nie chce oprócz nędzy materyalnej, doznawać i nieustannego upokorzenia moralnego.

Serce jej się krajało, gdy się żegnała z dziatwą, która ją tam całem sercem ukochała. Nie mogło jednak być inaczej; zawód nauczycielski napełnił tę szlachetną duszę takim wstrętem, iż go na zawsze porzuciła.

Nareszcie zaczęto jej poezye przyjmować i drukować w *Dzienniku mód*, *Bluszczu*, w *Tygodniku ilustrowanym* i po wielu innych pismach. Zdawać by się powinno, iż gdy utwory tej młodej lutnistki polskiej doczekały się uznania, troski jej o byt codzienny staną się lżejsze. Wartość jej utworów poetyckich była niezwykła; nie szczędzono poklasku i sympatyi dla młodej wieszczki. Doczekała się nawet, że utwory jej wyszły w osobnem wydaniu pod tytułem: „Poezye Maryi Bartus“. Publiczność czytająca rozchwytała w krótkim czasie to wydawnictwo, co spowodowało nowy nakład.

Tak jest, doczekała się poklasków i uznania, ale tylko w nic nie kosztującem uznaniu, że tak powjemy teorytycznem, bo realne troski ani na chwilę ją nie opuszczały. Wyjątkowo płacono za utwory uczciwie, według ich wartości. Do tych uczciwych nabywców niech nam wolno będzie zaliczyć A. J. O. Rogosza. Nie brakło jednak takich wydawców, nawet o głośnych nazwiskach, którzy się ani na chwilę nie wahali wyzyskiwać w ohydny sposób i płacić po prostu plewą za utwory, za które spływała do kasy wyzyskiwacza brzęcząca moneta. Dosyć powiedzieć, że za drugie wydanie Marya Bartus prawie tyle jak nic nie dostała. Miała wprawdzie drogę otwartą do Sądów, lecz tą nie poszła. Moglibyśmy o tym fakcie rozpisać się obszerniej, ale wobec świeżej mogiły, która się nad szlachetną duszą lutnistki polskiej co dopiero zamknęła, opuszczamy ten wstrętny ustęp. Przysłowie o Maleparcie, spełnić się musi prędzej czy później.

Oprócz tego tomu należą do celniejszych utworów zmarłej poetki poemat osobno wydany pod tytułem „Czarodziejska fujarka“, obraz dramatyczny w 5ciu aktach pt. „Wanda“, który zamieścił „Tygodnik ilustrowany“. W tece zmarłej pozostało jeszcze wiele poezyj nigdy nie ogłaszanych.

Gdy walka o byt codzienny stawała się coraz straszniejszą, gdy nędza i głód zaglądały coraz częściej do izdebki, którą zamieszkiwała nasza lutnistka ze staruszką matką, gdy tygodniami, a nawet miesiącami jedynem ich pożywieniem prawie była herbata, ba — nawet bez cukru lub kropli mleka, a podczas mrozów nie było czem w piecu zapalić, gdy wrodzone poczucie dumy, czy też wstręt do żebraniny pod jakąkolwiek formą, nakazywało taić się z tą nędzą przed najbliższymi przyjaciółmi i przyjaciółkami, śp. Marya, nie znajdując nabywców na poezye, ujęła za pióro, aby pisać prozą. Z tego to czasu datują się dwa utwory belletrystyczne, zamieszczane br. w fej-

---

włożyć i w obszarpanym surducie chodziłem, bo sukno owo, które kupiłem, ojciec sprzedał, abym miał co jeść w Przemyślu. Przysyłano mi co miesiąc kilka kwart kaszy, dwa chleby i trzy cwancygiery na mięso, a drugie trzy na stancyę. Chodziłem pilnie na kolegia, unikałem złego towarzystwa, uczyłem się albo w cegielni Malarkiewicza na dobromilskim trakcie, na Zniesieniu, albo w Bakończyckich łozach.

W owym to czasie umarł biskup łaciński i pierwszy raz widziałem pogrzeb wspaniały. Biskupem zmarłym był Jan Potoczky, ormianin, niski, w peruce, z wielkim bardzo nosem i z jednem okiem. Fizyognomia sprawiała niemiłe wrażenie. Nie był to mąż dobry — nieprzyjaciel Polaków. W rządzie dobrze zasłużony. Z proboszcza stanisławowskiego posunął od razu na godność biskupią. Biskup ten byłby zapełnił dyecezyę klerem obcym, cudzoziemskim, tak jak tarnowscy biskupi Niemcy i wyrodny arcybiskup lwowski Ankwicz zrobili, gdyby nie Feigel, który usilnie się temu sprzeciwiał. Że biskup Potoczky, z Siedmiogrodu rodem, był wrogiem Polski, dowodzi ten fakt: Razu pewnego był wieczór u biskupa. Na karty zgromadzili się Niemcy i kapituła. Biskup sknera ni tem ni owem przyjmował gości. Dano między innemi kiszkę; żaden z gości nie tknął się jej, bo nie była świeża. Biskup widząc, że się tej kiszki nikt nie tknął, odezwał się: — „Możnaby tę kiszkę posłać Dwernickiemu“ (który właśnie z korpusem rozwiązanym spoczywał w Przemyślu). Te ohydne słowa oburzyły kanonika i profesora Józefa Sulikowskiego. Podniósł się z krzesła i wyrzekł głocno, dobitnie: „Ksiądz biskup zajada kaszę polską, a przeciw Polakom powstaje. Gdyby nie Polacy, to Jego biskupia Mość nie miałbyś co jeść!“ — Rzucił łyżkę, wstał od stołu i wyszedł. Nie darował mu tego ksiądz biskup. Niemcy oskarzyli go do policyi i odsadzono winowajcę od katedry i od kapituły. Posłano go na wikaryusza do Drohobycza, aż z ciężką biedą za wstawieniem się ks. biskupa Zacharjasiewicza, dostał beneficium w Sądowej Wiszni, gdzie prawie w nędzy dokończył żywota. Tyle nieszczęścia narobiła kiszka. Potoczky był ostatnim biskupem przemyskim, pochowanym w grobowcach w katedrze, i to za szczególnym faworem rządu. Chował go arcybiskup Ankwicz.

Upłynęło drugie półrocze. Nauczyciele grozili naprzód surowymi egzaminami i dotrzymali słowa. Połowa młodzieży odpadła, bo taka była polityka, aby cudzoziemcom otwierać drogę do urzędów w Galicyi. I drugi kurs mi nie dopisał mimo pilności; znowu niemiec Eitel wsypał mi dwójkę; a że i w pierwszym kursie z tego przedmiotu miałem drugą klasę, przeto i poprawki zabroniono. Nie dano mi też stypendyum za drugi kurs. Nie mając o czem dalej uczęszczaj do szkół, ku wielkiemu zmartwieniu mojemu i ojca, gdy lekcyj drugim dawać nie zdarzyło mi się dla mojego małego wrostu, więc zostałem w domu, zamyślając w Samborze objąć różne lekcye, złożyć jaki zasób i udać się po wakacyach do Lwowa dla ukończenia drugiego roku filozofii.

Rok 1833 upłynął, kondycyj czyli lekcyj miałem pełno, dobijano się do mnie, bo miałem dar udzielania i byłem — filozofem. Pieniądze szczupłe, rozchodziły się, bo wówczas mało płacono. Miałem od 8. zrana do 6. wieczorem godziny, a dostawałem miesięcznie 20 fl. m. k., a tu trzeba było sobie coś sprawić, rodzicom coś dać, a były i inne drobne wydatki, to też mało zostało, gdy we Wrześniu do Lwowa do szkół wyjechałem.

Szukałem we Lwowie kondycyi, kręciłem się za niemi. Póki miałem krajcar jaki, płaciłem stręczycielom, a tu ani rusz, małego „dyrektora“ nikt nie chciał. Wreszcie jakoś dostałem kondycyę na wikt i stancyę u szewca na Stryjskiem. Zrazu tam szło jakoś, później, szewc nie mając roboty, karmił mię „ścieranką“, mięsa nie było, ale znoszę wszystko cierpliwie i kontent jestem, że mam przynajmniej do ust co włożyć. Wreszcie wypowiada mi mój dobrodziej wikt. Jakby piorun, była ta wiadomość dla mnie. Przed samym egzaminem na 6 tygodni nie miałem co do ust wziąć. Komiśnym chlebem żywiłem się i postnemi kartoflami u jednego kolegi pod strychem, aby tylko dociągnąć do egzaminu. Ale i to nadaremnie. Bez pomocy, kusa rada. Ostatnia przygniotła mię nędza. Przed egzaminem trzeba było zapłacić dydaktrum 6 fl. m. k. Nie wiedziałem co począć.

Radzono mi wstąpić do klasztoru, ale nie czułem w sobie powołania do takiego życia. Ułożyłem sobie jechać na wieś i przyjąć obowiązek uczenia dzieci w jakim dworze. Jakiś faktor obszargany (wówczas tacy stręczyli nauczycieli do szlacheckich dzieci, tak samo jak lokaja, ekonoma lub gumien-

letonie *Gazety Narodowej*, pod tytułem: Wiązanka konwalij" i „Po śmierci". Zmarła pisała te nowele w chwili, gdy słabość piersiowa zaczęła się u niej silniej rozwijać. Warunki, pod jakiemi redakcya *Gazety narodowej* nabyła te nowelki, były nominalnie korzystne. Inna rzecz jest jednakowoż nabywać i obiecywać, a inna płacić. To też i Redakcya *Gazety narod.*, idąc utartym torem innych śmiertelników, nie zawahała się, aby przyrzeczone honoraryum obciąć o kilkadziesiąt reńskich, wbrew danym przyrzeczeniom i umowie.

W takich warunkach codziennego bytu i do takiej walki, zabrakło sił nietylko ś. p. Maryi, ale i jej staruszce matce. Lekarze wysłali ją rb. „na świeże powietrze"; gdy zaś środki były więcej jak skromne, aby tego „świeżego powietrza" używać, udała się do wsi Kulaszne. Nieodpowiednia aura i nieodpowiednio zaopatrzone mieszkanie tamże, wobec trosk o byt codzienny, wzmagający się niepokój o dalszą przyszłość, wystarczyły, aby zdrowiu zadać cios ostatni.

Gdy śp. Marya powróciła do Lwowa, jej stan i dola były widoczne; to też tej chwili otoczyły ją siostrzane serca znanych lwowianek, których już nie mogła łudzić i chować się przed niemi ze swą nędzą. Otoczyły ją też wszystkiem, co było w ich mocy; a ta miłość siostrzańska złagodziła przynajmniej gorycz straszną, jaka się tam chociaż w tej anielskiej piersi dziewiczej, mogła słusznie nagromadzić i napełnić żalem do ludzi, których tak kochała. Że tak było, dowodzi najlepiej jeden z ostatnich utworów przedtem nie drukowany, pod tytułem:

DO ŚMIERCI.

Przybliż się blada! przybliż się cicha!
Odsłoń twe lica, spokojem piękne!
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha —
Ja się nie zlęknę!

Chociaż nie wierzę, by twoja ręka
Do złotych niebios wiodła podwoi,
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka —
Ciszą się koi...

Wierzę, że losu wściekłość bezsilna
Do walk daremnych, tam już nie zbudzi,
I że cieplejszą ziemia mogilna
Od... serca ludzi!...

Iluż to bolami i jak ciężkimi ciosami musiała być dotknięta dusza tej szlachetnej i wzniosłej myślami dziewicy-lutnistki, gdy w chwili widomego zwątpienia, wypływa z zamierającej piersi śpiew łabędzi, aczkolwiek świadczący o wielkiej rezygnacyi, ale wydany z jękiem zwątpienia w te ideały, które były przewodnią gwiazdą jej całego żywota.

„I że cieplejszą ziemia mogilna
Od... serca ludzi!..."

Słowa te wypowiedziały spieczone gorączką śmiertelną usta. My się nimi ani gorszymy, ani nas zadziwiają, bo są w życiu ludzkiem chwile, które tak rozżalają i takie budzą zwątpienie, że nawet najsilniejszy duch gotów zerwać z wszelkimi ideałami, i tem wszystkiem w co wierzył. Jednakowoż prawdziwie szlachetne dusze umią i przebaczać, jeżeli tylko ich serce rozgrzeje jeden chociaż cieplejszy promyk, byle tylko prawdziwej miłości. A więc i śp. Marya, gdy się widziała otoczoną sercami bratniemi i siostrzańskiemi, gdy chociaż na chwilę przed skonem wolną była od styczności z ludźmi szakalami, gwiazdka jej, która wkrótce miała już zajść na ziemi, zaświeciła nad nią w pełnym blasku ideałów, jakie tylko dusza tak poetycka odczuć może. Pogodziła się z losem, który jej był tak srogim ojczymem. Wdzięczność swoją okazywała w każdem słowie, w każdym ruchu, tym, którzy ją otaczali bratnim wieńcem. A gdy kapłan wstąpił w progi jej ostatniego schronienia na ziemi, dla namaszczenia św. olejami, przyjęła go z całą radością chrześcijańską, a kapłan był rozrzewniony do głębi duszy tą rezygnacyą. W dwie doby później o godzinie 6 wieczorem, dnia 2. Października, objąwszy rękami za szyję całego żywota swego opiekunkę, zawołała: — „Mateczko! ja umieram!" a w chwilę potem, oddała Bogu ducha.

S. p. Marya Bartus jako poetka nie może być zaliczoną do tych zwykłych talentów, które za pomocą rymów dążyły i dążą, aby za jakąbądź cenę zdobyć laury i chwałę. Polot myśli i ducha ś. p. Maryi nie miał nic wspólnego z tem, co się sztuką lub mozolną pracą nabywa. Jej jeniuszu nie sądzić tym wyroczniom, które gonią za patentami, mającemi świadczyć o ich wielkości. Nie im dozwolony sąd, czy imię ś. p. Maryi Bartus należy zapisać na Parnasie wieszczów lutnistów narodowych. Ten sąd wyda naród polski, teraz czy później, nie oglądając się na wrzekome powagi i wątpliwej wartości „bardów", szukających sławy przy pełnym półmisku i kielichu!

Obok trumny ś. p. Maryi zgromadziły się tysiące, które przybyły dlatego z własnego natchnienia i na pierwsze hasło, aby oddać cześć i ostatnią posługę ziemską N a j s y m p a t y c z n i e j s z e j l u t n i s t c e p o l s k i e j!

Zaiste, ś. p. Marya Bartus, była to najczystsza dusza ze światłem jasnem w oku i na czole, jakie się tylko w żywocie dziewiczym mieścić mogą.

Cześć pamięci lutnistki polskiej!

S. p. Faustyn Swiderski zmarł w dawnem województwie krakowskiem w ziemi Selowskiej we wsi Mzurowie, a był to obywatel, którego imię zasługuje na szersze pośmiertne wspomnienie. S. p. Faustyn, był synem znakomitego pułkownika b. wojsk polskich, który służył dzielnie ojczyźnie jeszcze za czasów Kościuszkowskich, a później odbył zaszczytnie kampanię pod Napoleonem. Pozostawił dwóch synów, Tomasza i Faustyna, którzy kształcili się w Krakowie, w Uniwersytecie Jagiellońskim. Od młodości brali gorący udział we wszystkich sprawach kraju, mianowicie w r. 1846 i 1848. Tomasz Swiderski brał udział w kampanii węgierskiej, później wzięty do niewoli, pokutował długie lata w twierdzy w Zamościu, wcielony do rot aresztanckich. Uwolniony nareszcie ztamtąd, powrócił ze zrujnowanem zdrowiem, osiadłszy przy bracie Faustynie w Mzurowie, gdzie w r. 1855 zakończył żywot. Ś. p. Faustyn był to człowiek z wyższem wykształceniem naukowem, nie tyle specyalnem, ile encyklopedycznem, miłujący Ojczyznę całą duszą i sercem, a świecił tą odrębnością szlachecką, że był prawdziwym miłośnikiem ludu. Stał z nim w szeregu jak to mówią w złej i dobrej doli. Majętność jego Mzurów w okolicy gorzystej Podkarpacia z nadzwyczaj utrudnioną komunikacyą, z nieszczególną glebą, ot, wioska mała, do której potrzeba się piąć jak na dach, nie mogła dawać właścicielowi dostatków, a jeżeli przyszła zbyteczna susza lub deszcze dłuższe, to pomimo pracy i znoju, Boże zmiłuj się, nie było co zbierać. S. p. Faustyn Swiderski aczkolwiek uważał staropolską gościnność za jedno z przykazań Bożych, nie zbytkował, nie trwonił nigdy mienia, nie żył nad stan, nie małpował innych, i nie piął się, a pomimo tego trzymał się wszelką możebną siłą ludzką rodzinnego zagonu, bo kochał tę spuściznę ojców całą duszą, kochał swój dworek drewniany i kochał wieśniaków. Był im ojcem i dobrym doradcą za czasów pańszczyźnianych i takim samym, gdy pozostali jego sąsiadami. Zarzucali mu wprawdzie sąsiedzi, że się za wiele bawi książką, że za dużo potrzebuje papieru, piór i atramentu, ależ to tak względna ułomność szlachcica rolnika, iżby się nikt zapewne nie odważył rzucić na nią kamieniem.

S. p. Faustyn aczkolwiek nie był w ścisłem znaczeniu tego słowa poetą, nie można mu było odmówić poetyckiej duszy. Był zaś wybornym, a często nieocenionym satyrykiem, który tryskał formalnie jemu tylko właściwym, szlacheckim humorem. Nie spuszczając oka z ruchu politycznego i społecznego kraju, nie mogąc płodów swych ze względu na cenzurę moskiewską umieszczać w pismach publicznych, obiegały takowe w luźnych kartkach nietylko sąsiedztwo, powiat, ale kraj. Szczególniej gdy się okazała jakakolwiek nieuczciwość obywatelska, lub zboczenie z drogi prawidłowej w społeczeństwie, chłostał takowe w sposób lekki, humorystyczny, ale dający się odczuć winowajcy. Do rymów tego rodzaju miał taką wprawę, a umiał rozbroić nawet dotkniętego, iż tymi figlami neutralizował, były wypadki, nawet pp. gubernatorów, naczelników powiatów i komendantów żandarmeryi. Humor ten czynił go pożądanym w każdem towarzystwie. Gdy zaczęło w Warszawie wychodzić pismo humorystyczne pod tyt.: „Wolne żarty", Faustyn Swiderski był jego jednym z głównych współpracowników, i od tego czasu imię jego stało się popularnem w całej niemal Koronie. Gdy „Wolne żarty" przestały wychodzić, płody jego rozchodziły się w tysiącach odpisów. Poemat satyryczny p. t. „Wojna owadów przeciw prof. Antoniemu Wadze, posiada rzeczywistą wartość literacką (z poematem tym zapoznamy naszych czytelników później).

Około r. 1859 rozpoczął ś. p. Faustyn w Mzurowie wydawnictwo „Tygodnika sąsiedzkiego". Było to wydawnictwo pisane, każdy Numer w czterech egzemplarzach, rozchodzących się z Mzurowa na cztery strony świata w odpowiednim kierunku od sąsiada do sąsiada. Pismo to na papierze rejestrowym wielkiego formatu, mieściło nawet humorystyczne ilustracye odręczne. Swiderski nie był rysownikiem, ale tego rodzaju karykaturom nie można było odmówić charakterystyki, pobudzającej do homerycznego śmiechu. Tygodnik ten rozchwytywano do Warszawy i do Krakowa, a o ile nam wiadomo, chwytane były do publicznych zbiorów i bibliotek jako cenne unikaty. Tygodnik ten wychodził rok cały, poczem wydawnictwo to pod nazwą „Komety" redagowane było przez sąsiada i przyjaciela Swiderskiego, J. N. Gniewosza w Poniku, aż prawie do wypadków 1863 r. Głównym jednakowoż współpracownikiem i ilustratorem był Faustyn

---

nego.) Za 100 złr. m. k. przyjąłem ten obowiązek i wyjechałem ze Lwowa dnia 21. Grudnia 1833 r.

Tu muszę się zatrzymać i opisać, jakie było życie i prowadzenie się moralne młodzieży na uniwersytecie i studyach filozoficznych. Młodzież przez cały kurs nie uczyła się; powszechnie spuszczano się na ostatnie dni przed egzaminem, które były przeznaczone do przygotowania się, zwykle tydzień, a znów do drugich przedmiotów po trzy lub pięć dni.

Wtenczas widziałeś po stancyach gromadki młodzieży, jak się uczyła w dzień i po nocach, o głodzie, niewyspana, aby tylko złożyć egzamin. W takim stanie bezsenności przesuwały się liczby, litery, bez sensu po mózgownicy, ale spamiętać dobrze, wyrozumieć lub strawić to, co który z kolegów czytał drzemiącym, trudno było. Dlatego mało który zdawał egzamin przygotowany dobrze; większa część młodzieży szła do popisu na los szczęścia. Nauka cała w kilka dni po egzaminie wywietrzała z głowy, a młodzieniec po ukończonej filozofii ledwo tyle wiedział, że się tam czegoś uczył. Nie liczę do tego geniuszów, lub wielkim talentem obdarzonych. Szkoły filozoficzne w wysokim stylu i w obcym języku wykładane, nie miały żadnego pociągu. Nauki marniały bez pożytku, zabijały ducha. I tu znowu powracano do algebry. Przedmiot ogromny, trudny, mogący wystarczyć na cały rok, kończono go w czterech miesiącach. Nauczyciel spieszył się i bazgrał po tablicy kredą, mazał i znowu pisał, a młodzież o tem ani wyobrażenia nie miała, o czem on jej prawił. A w tydzień przed egzaminem, któż mógł dobrze pojąć i nauczyc się tej algebry? Trudniejszą i więcej ducha zabijającą była na drugim kursie geometrya; szczególnie zaś trygonometrya płaska i kulista, parabole i t. zw. solidometrya. Wykład był okropny, a tak błędny, że pan profesor często wikłał się i kompromitował.

Filozofia ze swemi gałęziami, mogłaby się była przydać, jak n. p. antropologia, psychologia, logika, etyka, metafizyka zrozumiała, ale wyrazy niezrozumiałe, oderwane, terminologia nie do pojęcia, — takie wykłady nie czepiały się pamięci i pojęcia i ulatywały z polskiej mózgownicy. Jeżeli zaś które formułki utkwiły w pamięci, to niezrozumiałe, jak hebrajski pacierz. Religia, osobliwie w drugim roku wykładana, to już istna dogmatyka, czyli gałęź teologii, wykładana tym, którzy się do stanu duchownego przysposabiali.

Marnie schodziły te godziny, w których ją wykładano i uczono; bo któryż młodzieniec zajął się tem, aby uczyć się na pamięć cytowania listów Pawła św. lub Ojców świętych. Taka nauka zabijała ducha. Nie lepiej wykładaną była greka i łacina, a pp. profesorowie wchodzili często w labirynt, z którego trudno im się było wycofać. Historya naturalna, t. j. zoologia, botanika, mineralogia, byłyby umysłom oddały pewne usługi, ale nie było nietylko zbioru zwierząt i innych, ale nawet odpowiednich tablic. W Przemyślu n. p. przedstawiał profesor obraz zwierząt, z iluminowanego arkusza, kupionego w kramie. Zoologia nie była przedmiotem obowiązkowym; z botaniki uczono zaledwie klasyfikacyę ziół według systemu Lineusza; o innych nikt nie słyszał, jak n. p. o Jussieu lub Rocheforcie. Z mineralogii zaledwie kilka kamyków uczono. Dziś więcej dzieci po szkółkach wiejskich umieją, aniżeli ongi filozofowie. Fizyka zeszkaradzona nazwami i wyrażeniami, oraz algebraicznemi tabliczkami. Istny chaos. Tak śliczny przedmiot, tak pożyteczny i oświecający, składał się z grubych tomów i dopisków, wykładany zawiłą niemczyzną, przez Niemców, jak Linzbauer lub Kunzek, sprawiał tylko szum w głowie. Żaden z młodzieży nie rozumiał zasad i pierwszych fundamentów przyrody.

Historya powszechna, wykładana na drugim roku, naszpikowana kłamstwami i rozmyślem przekręcaniem faktów. We Lwowie wykładał tę pożyteczną naukę profesor M a u s, szwab powszechnie lubiany. Wykład jego był miły i zajmujący. Miejscami odrywał się, fantazował po prostu, i schodził na inne uboczne dzieje. Gdy w drugim kursie przychodził na dzieje Polski, zwykł zawsze mawiać: „Prawdy nie mogę mówić, kłamać nie chcę, przechodzę te smutne dzieje, przystępując do dziejów Moskwy". Człowiek ten miał wiele nieprzyjemności za swoje wolne słówka, które mu się czasami wymykały z ust. Krążyło o nim pełno anegdot. Usunięto go na starość, a gdy umarł, miał wspaniały pogrzeb. Liczna młodzież i starsi, którzy pod nim się uczyli, odprowadzili go do grobu.

I historya powszechna nie była przedmiotem obowiązkowym, chociaż bez tej nauki nikt się uczonym nazywać nie może. Taka to była nauka na wydziale filozoficznym. Oczywista rzecz, że taka oświata ogłupiała młodzież i czyniła ją ciemną, nie zdałą do myślenia i niechętną do nauk. Mło-

Swiderski. Po r. 1863 nie przestał Swiderski pisać swych satyr i humoresek, ale nękany coraz więcej materyalnie i moralnie, gdy dusza płakała, trudno już było o tę pierwotną werwę, mianowicie, jeżeli się już dobiegało szóstego krzyżyka w ciężkim znoju i pracy, wśród zawodów i coraz większej troski o chleb codzienny dla siebie i rodziny. I nie ujrzawszy ani jednego jaśniejszego i cieplejszego promyka lepszej przyszłości, legł w tej ziemi, którą tak ukochał.

Krytycy nasi w pośmiertnych wspomnieniach przyznają wprawdzie ś. p. Faustynowi pewne władanie humorem, nie mającym jednakowoż większej wartości nad dowcip i rubaszność szlachecką.

Oto z tymi panami się nie godzimy. Płody jego nazwijmy je piśmienne, podzielić można na działy mniejszej i większej wartości, lecz nawet najsłabszym nie można odmówić wartości literackiej. Prawda, że nie są to poezye, ale rymy, jednakowoż jeżeli idzie o ocenę humoru polskiego, to ś. p. Faustyn Swiderski władał piórem znakomicie. A miał tę wielką zaletę, iż nie znamy ani jednego wiersza, puszczonego przez niego w świat, któryby świecił cynizmem, demoralizacyą, a treścią lub myślą dotknął niemile ucho polskie, w czem się nasi teraźniejsi literaci i humoryści tak wielce lubują i tem się szczycą.

Pamięć po ś. p. Faustynie Swiderskim długo pozostanie w dawnej ziemi Krakowskiej, a to i z tego powodu, że w stosunkach sąsiedzkich, w życiu obywatelskiem, czy to politycznem czy powszedniem, każdy krok prawie ma swoją kronikę. Różne anegdotki z epoki przeszło 30-letniej, a nacechowane tą odrębnością humoru szlacheckiego zmarłego naszego przyjaciela i sąsiada, zasługują, aby były zebrane w jedną całość. Otóż pracy tej postanowiliśmy się podjąć i po zebraniu materyałów opisać obszerniej żywot ś. p. Faustyna Świderskiego.

Znany i dobrze przyjęty przez społeczeństwo polskie komedyopisarz Leopold Świderski, jest synem ś. p. Faustyna.

Samobójstwo.

Gdy dzienniki i karty pogrzebowe, rozlepione po rogach ulic donoszą prawie codziennie, że znowu serce pełne ciepła bić przestało i zastygło, a żałoba po żałobie pozostawia żal w spuściźnie pozostałym bratnim sercom, spada znów jak grom wieść nowa o dopełnionem samobójstwie, które w ostatnich latach schodzi już do najpowszedniejszych zdarzeń. Targa się na żywot swój dzieciak, młodzieniec, dziewica, mąż w sile wieku, kobieta-matka i nie waha się przed tym strasznym środkiem, mającym wrzekomo skrócić bole ziemskie. Nawet starzec siwowłosy, który skończył już ósmy krzyżyk, a więc dnie i godziny jego były policzone, pomimo to nie miał odwagi wytrwać do końca. Dawniej samobójstwo należało do nader rzadkich wypadków; dziś w naszych czasach zamienia ono się na rodzaj epidemii, jakby chronicznej choroby w drugiej połowie XIX. wieku.

Samobójstwo zawsze musi budzić jeżeli nie wstręt, to przynajmniej nader przykre wrażenie w każdym człowieku, który pojmuje rzeczywiste obowiązki żywota swego na ziemi. Samobójstwo jest po prostu tchórzowstwem w powszednich objawach, a tylko w rzadkich wypadkach może znaleść usprawiedliwienie.

Tak jest, kto śmie twierdzić, lub usprawiedliwiać bliźniego, że nieszczęścia były powodem, iż przestał się liczyć z godnością człowieka, i targnął się na własny żywot, taka przyczyna nie usprawiedliwia, ale potępia. A jednak, sąd taki nie może być bezwzględny, jeżeli bliźni bliźniego przypierają tak twardo do muru, mianowicie starca bezsilnego, starca, który pomimo woli najlepszej, nie może zarobić nawet na kęs chleba, a przed oczami jego stawa straszne widmo głodu i nędzy, od którego nie może się inaczej ochronić, jak tylko stając się żebrakiem i ciężarem dla innych.

Dzienniki lwowskie podały równobrzmiące następujące doniesienie:

„Samobójstwo. Wczoraj przed samą godziną 12 w południe, mieszkańcy domu pod l. 37 a. ulica Na Rurach, usłyszeli wystrzał w izdebce, zajmowanej przez Tyburcego Olszewskiego, starca 84-letniego, niegdyś właściciela rozległych dóbr na Podolu i byłego oficera gwardyi narodowej w r. 1848. Pospieszono natychmiast i przez okno ujrzano starca nieszczęśliwego, broczącego w kałuży krwi. Jak na miejscu zdołaliśmy się dowiedzieć, zmarły nie mając środków do życia, nosił się z myślą samobójstwa od 10ciu miesięcy i dopiero wczoraj, gdy się ostatni cent wyczerpał, targnął się na swe życie. Kula rewolwerowa ugodziła w prawą skroń, a tak celnie, że śmierć w jednej sekundzie nastąpiła. W listach, jakie samobójca pozostawił, żali się na swych licznych krewnych i przyjaciół, których za dobrych czasów było wiele — bardzo wiele, bo były nawet czasy, w których był członkiem kasyna narodowego (końskiego). „Niech im Bóg przebaczy tak, jak ja im przebaczam — za opuszczenie i zapomnienie“ — są słowa nieszczęśliwego starca. Opisując swe stosunki, kończy tak: „wczoraj głód zawitał do mej izdebki, nie mam siły do dalszej walki, więc ustępuję; byłem na ziemi proszkiem, dziś jestem popiołem; za pożyczony grosz nie chcę życia przydłużać“. Resztę mienia jakie mu w sprzętach pozostało, zapisał testamentem swej słudze, która go w ostatnich czasach pielęgnowała i swemu naturalnemu synowi, który gdzieś w Przemyślu bawi“.

Już po pogrzebie znaleziono w papierach następujący wiersz, który nieszczęśliwy starzec widocznie przed samym zgonem napisał:

„Kto nie ma ojca, ani matki,
Ni krzty ziemi, ani chatki;
Żonę stracił, nie ma dziatek,
Ni rodziny, ni sąsiada,
Cierpi z wszech stron niedostatek,
I nic w życiu nie posiada;
Ni nadziei, ni marzenia,
Bo myśl każda w grom się zmienia.
Wiek styrany... wzrok stracony...
Sił do pracy pozbawiony.
I ze światem skończył już,
Poznał wartość serc i dusz —
A śmierć głodu, śmierć straszliwa,
W swe objęcia go przyzywa...
Czyż on dalej winien żyć?
Toż mu się do Boga skryć!“

Zebrawszy bliższe wiadomości o zmarłym, dowiedzieliśmy się, że należał on niegdyś do bardzo zamożnych obywateli w Galicyi, a pomiędzy innemi był dziedzicem Potoka złotego na Podolu. Słynna była jego stajnia i jego konie wyścigowe, za które mu płacono wysokie ceny. Był skoligacony z licznemi rodzinami w kraju. Miał być nadzwyczaj gościnny, uprzejmy i hojną ręką niósł pomoc niejednemu. Być może, że żył za hojnie, że niebacznie szafował mieniem, i tak wiedziony żywot stał się przyczyną upadku tego znacznego majątku.

O ile pamięć sięga jego dawnych znajomych, nie roztrwonił on lekkomyślnie tego mienia, ale padł ofiarą zbiegu okoliczności, zastawiania nań sideł i nieuczciwego wyzyskiwania jego dobroduszności. Ci, którzy go znali od czasu, gdy zamieszkał we Lwowie, wyrażali się o nim z największem współczuciem. Jeżeli błądził jako człowiek, to z drugiej strony był to mąż ciepłego serca, który się zawsze dzielił z nieszczęśliwszymi od siebie. Wrodzona duma, a raczej ambicya, nie pozwalała mu wyciągać ręki, a mianowicie do licznej klienteli rodowej, która go tak długo ceniła i była serdeczną, jak długo starczyło majątku. Gdy tego brakło, odsunięto się z wszelkiem pokrewieństwem i przyjaźnią. Ani jeden dwór lub pałac krewniaka nie otworzył swych drzwi gościnnych, by go pod dach zaprosić. Cóż mówić o dalszych wrzekomych przyjaciołach, sąsiadach kochanych i t. d.? Dawniej wprawdzie, był w Polsce i w rodach polskich inny zwyczaj; tak wtenczas jak i obecnie zmieniały się losy fortun szlacheckich, ale był to rzadki wypadek, aby podupadły brat szlachcic, a do tego krewniak, nie znalazł już u swojaków kawałka dachu, łyżkę strawy, obok chociaż odrobiny ciepłego serca. Nie dano mu iść na żebry, ani dzieciom jego; krewniak czy obcy, znalazł zawsze pomoc, czy to w szlacheckim dworze, czy też u magnata. Odpychano od siebie tylko niepoprawnych kosterów, ludzi okrytych infamią, lub zbrodnią; — ale takiego, co błądził jako człowiek, mianowicie starca siwowłosego, nie skazywano na samobójstwo.

Nie pisalibyśmy o tem wszystkiem, gdyby to był luźny wypadek, ale ilużto mamy starców prawie rówieśników ś. p. Olszewskiego, którzy nietylko, że nawet może mniej popełnili błędów jako ludzie, ale przeciwnie, ludzi takich, przed których przeszłością należałoby każdemu prawemu synowi Polski czoła ugiąć, gdy całe pasmo żywota świeci tylko, jakby aureolą czynów poświęcenia bez granic, a nawet bohaterstwa. A przecież od takich starców, odwracają się tak samo możni krewniacy i familianci, wyrzekają się łączności rodowej, a czyny żywota, spędzonego na usługach Ojczyzny, uważają nawet za występek. Jużto, jeżeli która część ziemi, to Galicya nie może się pochwalić tradycyjną gościnnością. Ktoby chciał temu zaprzeczyć i powiedzieć że to fałsz, to mu wskażemy na ostatni zastęp bojowników z r. 1831., 1848. i kalek, okrytych chlubnemi ranami z r. 1863. Pokażemy im starców, okrytych krzyżami „virtuti militari“, czystego żywota jak łza, krórzy tak samo jak ś. p. Olszewski, żyjąc wśród nędzy i tak samo nie widząc jutra, nie nauczywszy się żebrać, wiodą walkę z sobą, czy raczej nie położyć wcześniej końca takiemu żywotowi. Ileżto mamy w Galicyi świetnych od złota ślniących pałaców, bogatych dwo-

---

dzież ciemna, głupia, a przytem zarozumiała, nie zajmowała się żadną lekturą, żadnym prawdziwie naukowym przedmiotem.

Do biblioteki Ossolińskiego uczęszczałem w wolnym czasie, lecz nie widziałem tam nigdy nawet 10 młodzieńców czytających. Katalogu nie pokazywano młodzieży, a jeżeli który żądał książki o narodzie polskim traktującej, gdyby nawet historyi Wagi, lub jakiej kroniki, to mu jej nie dano. Szczęściem, że można było czytać *Rozmaitości.*

W bibliotece Akademickiej nie dostał polskiej książki, tylko samych łacińskich lub niemieckich autorów. Pamiętam, że raz w bibliotece Ossolińskich prosiłem o spiewy historyczne Niemcewicza, ktore znałem ze słyszenia. „Nie wolno!“ — odpowiedział bibliotekarz i musiałem się kontentować *Rozmaitościami*, z których sobie rozmaite wiersze wypisywałem. W bibliotece akademickiej czytywałem Wielanda, Klopstocka i Rabelaisa. Tego ostatniego po francusku, którego jednak nie rozumiałem, tak samo jak Szuberta psychologii.

Wstrętna do nauki i czytania książek młodzież akademicka, traciła czas wolny na rozpuście i pijaństwie. Pełno było po bilardach i knajpach młodzieży, zalewającej się gorącymi trunkami. W Przemyślu utworzyły się bandy, chodzące z chorągwiami do blizkiej Nechrypki, Cybulanki, lub do Bakończyc na pijatykę, spiewając sprośne pieśni. Wybierano cechmistrza takiego, który zdołał wydoić kwartę okowity. Ze składkowych pieniędzy wyprawiano orgie pijackie Biada temu, kto się od takich kolegów usuwał, jeżeli razem z nimi mieszkał. Wyrządzano mu najokropniejsze psikusy.

Pamiętają w Przemyślu bunt studencki, kiedy zaczęto i młodzież szkolną do wojska ściągać. Na czele bandy stał Stępek; wyraźne obleżenie, zniesienie i rozbicie namiotów, marsz tryumfalny po mieście i kocia muzyka pod oknami starosty okrutnego, Czecza.

Pod dowództwem niejakiego Parylewicza jeszcze straszniejszy wybuch, bo wybicie okien w cyrkule, zburzenie karczmy w Reczpolu, rogatki na Dobromilskim trakcie itp. Dziś by to szaleństwem zwano, co dawniej było honorem dla akademików. Młodzież hulaszcza, wiecznie zalana, niej wiedziała co to hańba, a co uczciwość. Niemcy się radowali, że młodzież nie myśli, że się bawi, że w kuflu lub na chórkach żydowskich trawi wolne godziny. Taka sama we Lwowie była demoralizacya bez granic, nic więc dziwnego, że w takiem usposobieniu wychowana młodzież wychodziła na księży bez powołania, na lada jakich urzędników, lub na mandataryuszów, wyrzutków galicyjskiej biurokracyi, z wyjątkiem synów pod okiem rodzicielskiem wychowywanych.

Ta rozpusta i birbanterya wkradła się nawet w mury seminaryjskie. Jeszcze za mojego w seminaryum pobytu, istniała tam jedna stancya, karczmą nazwana. Szynkowano tam wódkę i piwo, a raz nawet podłoga się od wódki rozlanej zajęła. Nie było to nic zdrożnego, że w czasie zapust pijani klerycy tańczyli, przebierali się w stroje kobiece, spiewali ohydne pieśni, grywali teatr, lub wyprawiali najwstrętniejsze orgie. Taki to duch czasu wtenczas panował.

Smutne to były czasy dla młodzieży polskiej w Galicyi. Wszelka karjera była dla nich zamknięta. Tylko synowie urzędników udawali się po skończonych studyach na prawa. Ubożsi, lub nie mający pewnego utrzymania szli na teologię, do stanu duchownego nie czując żadnego powołania, lub kierowali się na mandataryuszów. Jeżeli zaś który ukończył prawo, dając lekcye we Lwowie, to po ukończeniu praw rzucony gdzie na prowincyę, żył w największej nędzy, nim się dochrapał jakiego adjutum. Cudzoziemcy wnet dostawali adjutum i to o 50 fl. więcej od krajowców, którzy czekali 3, 4, a nawet ośm lat jedynie na adjutum, a cóż dopiero mówić o pensyi stałej. Jeżeli Polak dostał się do politycznej instancyi, czyli do cyrkułów na praktykanta, to biedował strasznie, chyba że podłością, szpiegostwem, nadskakiwaniem wyjednał sobie względy, lub zaślubił jaką komisarzównę Niemkę.

W sądownictwie szło łatwiej, ale długo i przez różne przechodząc egzamina, dostawało się pensyi, 300 fl. k. m., wyższej zaś dopiero w późnej starości. Kto poszedł w górę, ten musiał oddawać szczególne usługi. Do buchalteryi i do komory czyli cła, pchali się sami Czesi.

Szkoła medyczna była w Wiedniu, a górnicza w Szczawniczy bańskiej, (Schemnitz), więc ciasne było kółko dla młodzieży polskiej.

Byli tacy, co porzucali biura i szli na mandatarów albo justicyaryuszów, lub do magistratu. Je-

rów, w których zamieszkują potomkowie starych rodów, lub też zbogaconych dorobkiewiczów. Zajrzyjmy, a przekonamy się, że tam nie ma ani zakamarka, ani jednej izdebki, gdzieby się mógł pomieścić starzec krewniak, lub dobrze zasłużony ojczyźnie, posiadający niegdyś takie samo mienie, prawda, że go nie przehulał, nie przegrał w karty, nie roztrwonił, ale złożył na ołtarzu ojczyzny, nie szczędząc własnej krwi.

I dlaczegóż nie znajduje przytułku u tych, u których łyżka strawy i kawałek dachu nie wchodzą w rachunek, bo nie mogą stanowić w wydatkach uszczerbku? Na to nie trudna odpowiedź, a bodaj czy nie jedynie prawdziwa. Osobnik taki ż e n o w a ł b y po prostu niejednego znowu osobnika, prowadzącego żywot podług najnowszego fasonu. Żenowałby, aby nie dojrzał blagi patryotycznej, lub nie nastręczał wyrzutów sumienia, może nawet krewniakowi. Jeżeli się zaś z nim spotka oko w oko, to bez ceremonii odwraca się i nie widzi go; a chcąc uchodzić za bardzo popularnego, że o tem nawet aż gazety pisują, raczy mu podać rękę i familiarnie nawet do niego kilka słów przemówi.

Lwów, Kraków, a nawet miasta prowincyonalne, sę jedynym przytułkiem na starość dla takich Olszewskich, od których krewniacy uciekają i nic ich to nie obchodzi, jak ci nieszczęśliwi kończą żywot. I znowu wracamy do niejednego z naszych weteranów z r. 1831. Istnieją wprawdzie dla nich aż dwa komitety w kraju, które im udzielają wsparcia po 10, 15, złr. miesięcznie, a wyjątkowo cokolwiek wyżej. Zapytujemy, jaki żywot jest takiego weterana, który nie mogąc pracować, lub złożony chorobą, nie ma innych środków do bytu? — Jestto rzecz powszechnie znana i prawdziwa. Są to ludzie, którzy mogliby być prawdziwą ozdobą nietylko dworu szlacheckiego, ale magnackiego pałacu, przykładem dla młodszego pokolenia. Jako ludzie wykształceni, byliby wreszcie miłymi towarzyszami. Dla takich nie otwierają się drzwi gościnne, nie zaprasza gospodarz serdecznem słowem, bo jak to wyżej powiedzieliśmy, są to ludzie „ż e n u j ą c y“, a nawet niebezpieczni, bo gotowi zaszczepiać idee, z któremi szlachcic galicyjski lub panek nie chce mieć nic wspólnego. Co ich to może obchodzić, jeżeli starzec jaki w zimnej, wilgotnej kuczy, drży skostniały, i odwar, nazwany herbatą, wraz z kęsem starego chleba lub czerstwej bułki, stanowi mu jedyne pożywienie, lub rozgrzanie ciała.

Jakżeż to często usiłujemy świecić wiarą naszą w Boga, w przyszłość nieśmiertelną duszy; jakżeż się kornie bijemy w piersi w świątyni Pańskiej, manifestując skruchę i przyrzeczenie poprawy w grzechach. Błagamy Boga codziennie o odpuszczenie win. — Cóż jednak czynimy poza tem? Cóż się stało z cnotami ojców naszych? Jakżeż to wygląda ta nasza poprawa i skrucha? Na czem polega ta nasza łączność krwi, szlachetność i cnoty obywatelskie?

Odpowiedzcie na to wy, co szafujecie tymi frazesami aż do obrzydzenia, a nie macie ich ani w duszy, ani w sercu, ani w myśli!

KRONIKA.

Wydalony z poznańskiego przez Prusaków w całem tego słowa znaczeniu dzielny ekonom, kawaler, liczący wprawdzie lat 60, ale czerstwy, zdrów i rześki. Przez lat 40 z górą pracował u najzacniejszych obywateli Wielkopolski, odbywszy najprzód praktykę w Turwi u ś. p. jenerała Chłapowskiego. Posiada najchlubniejsze świadectwa, gdyż chlebodawcy traktowali go jako przyjaciela, a nie sługę. Mówi i pisze po polsku, małorusku i po niemiecku. Biegły w prowadzeniu ksiąg gospodarczych, obznajomiony tak samo z przemysłem gospodarczym. Charakter dziwnie miły i prawy. Jestto człowiek skromny, bez jakiejkolwiek skazy moralnej. Nie ma wysokich żądań, byle tylko znalazł stanowisko w zacnym domu obywatelskim. Redakcya poleca go gorąco i pośredniczyć będzie, jeżeli otrzyma zgłoszenia.

Do panów przemysłowców-rękodzielników w Galicyi i Wielkiem Księstwie Krakowskiem otrzymaliśmy następującą odezwę:

„Prezydyum byłego stowarzyszenia dostawy artykułów skórzanych dla c. k. armji, wezwało panów jeszcze w miesiącu lipcu br. do przesłania petycyi Kołu polskiemu w Wiedniu na ręce posłów dotyczących okręgów wyborczych, w których zamieszkujecie, z żądaniem wyjednania u wysokiego rządu zmiany dotychczasowego systemu dostawy artykułów dla armji potrzebnych, i uzyskania tejże dostawy dla kraju naszego.

„O przesłaniu takiej petycyi do Koła polskiego zawiadomiły nas dotąd tylko dwa okręgi wyborcze. Uprasza się przeto, byście panowie jak najprędzej donieśli na ręce których posłów i kiedy petycye wasze przesłane zostały, a to tem bardziej, że wysokie Koło polskie wybrało komisyę, której celem jest rozpatrzeć życzenia kraju i takowe uwzględnić przez podniesienie rolnictwa i przemysłu. Któreby więc okręgi wyborcze dotąd petycyi nie wniosły, powinne to uczynić zaraz, aby ułatwić czynności ad hoc wybranej w Kole polskiem komisyi. Petycyę z miasta Lwowa podpisuje się u pana Rischera i w Izbie stowarzyszeń rękodzielniczych w ratuszu“.

St. Niemczynowski.

Interpelacya p. Grocholskiego, wniesiona w Radzie państwa w sprawie wydalań pruskich, brzmi dosłownie:

„W moc rozporządzenia królewskiego rządu pruskiego, została w najnowszym czasie pewna ilość *obywateli państwa austryackiego* skazaną na wydalenie z królestwa pruskiego, pomimo, iż posiadali oni przepisane legitymacye, i bez względu na to, czy ci, których to srogie rozporządzenie dotknęło, tylko przez czas krótki w Prusiech bawili, lub też tam się osiedlili i zabezpieczone mieli utrzymanie. Wskutek tego *z zasadami prawa narodów i w ogóle z podstawami nowoczesnej cywilizacyi sprzecznego postanowienia*, zagrożeni wydaleniem tracą możność zarobkowania, a z powodu krótkiego terminu, w którym mają interesa swoje uporządkować, są oni narażeni także na niepowrotną utratę majątków. Niejeden z nich, który jeszcze przed kilku tygodniami cieszył się mieniem poczciwie nabytem, zostaje naraz pogrążonym w nędzy. Jak słychać, liczba tych obywateli austryackich, którzy w jednym tylko kraju koronnym, t. j. w Galicyi mają prawo przynależności, a którzy, zostali skazani na wydalenie z Prus, ma wynosić *kilka tysięcy.*

Wydalenia te nie dają się pogodzić z art. 19 traktatu handlowego, zawartego dnia 23 maja 1881 roku, między monarchią austro-węgierską a cesarstwem niemieckiem, traktatu, który do dnia dzisiejszego ma moc obowiązującą. Wspomnionym artykułem traktatu handlowego zostało obywatelom obudwu państw wzajemnie zapewnione *zupełnie równe z własnymi obywatelami uprawnienie co do zakładania i prowadzenia przemysłowych i handlowych i co do odwiedzania targów i jarmarków.* W moc obowiązującej w cesarstwie niemieckiem ordynacyi przemysłowej, każdy ma prawo założyć i prowadzić przedsiębiorstwo przemysłowe, jeźli ono nie jest ze względów policyjnych ograniczonem, skoro u właściwej władzy złoży o tem doniesienie. Prawo to, wyjąwszy wypadki ustawami, mianowicie podatkowemi, wyraźnie przewidziane, nie może być odjęte ani przez sądową, ani przez administracyjną decyzyę. To ustawą zabezpieczone uprawnienie do założenia i do spokojnego prowadzenia przeesiębiorstwa przemysłowego, które w moc traktatu z r. 1881 służy wszystkim obywatelom austryackim na całym obszarze niemieckiego cesarstwa, byłoby jednak złudnem, gdyby niezbędne do prowadzenia takiego przedsiębiorstwa prawo bądź to czasowego pobytu, bądź też stałego zamieszkania mogło być dowolnie tutejszym obywatelom odjęte.

Nie podlega przeto żadnej wątpliwości, iż c. k. *rząd austryacki ma nietylko prawo, ale także obowiązek wziąć w opiekę obywateli tutejszych* — wspomnionem rozporządzeniem ciężko dotkniętych i starać się o cofnięcie owego rozporządzenia, tudzież o stosowne wynagrodzenie szkody, jakąby wydaleni ponieśli.

Podpisani więc zapytują:

1) Jakie środki c. k. rząd przedsiębrał, aby zapobiedz naruszeniu zasad prawa narodów, powszechnie co do stosunku między państwami cywilizowanemi uznanych, a mianowicie, aby zapobiedz naruszeniu praw przyznanych obywatelom austryackim na obszarze królestwa pruskiego mocą wyraźnej ugody; — jeźliby zaś c. k. rząd takich środków dotychczas nie przedsięwziął, jakie zamierza w tym kierunku kroki poczynić.

2. W jaki sposób zamierza c. k. rząd dać niezbędną pomoc tym obywatelom austryackim, którzy wskutek wydalenia z Prus utracili wszelkie środki utrzymania i na razie tylko za pomocą dobroczynności publicznej mogą się utrzymać przy życiu“?

Ze Stanisławowa donoszą nam znowu, że p. dr. Czerwiński, hydropata z Fürstenhofu, były właściciel *Reformy*, a obecnie *Gazety narodowej*, który głośno w dziennikach protestował, że bynajmniej nie konkuruje o krzesło poselskie w Stanisławowie, że namawiał tylko do kandydatury p. Juliusza Starkla (co za szczególne poczucie obywatelskie i umiejętność w wynajdywaniu znakomitości), aby tenże zechciał się poświęcić dla dobra kraju. Ten sam p. dr. Czerwiński, hydropata, przyznaje się później, iż gdyby mu

---

den nawet podał się był na landsdragona. Niemcy biurokraci założyli byli potem wyraźny monopol na posady, a niektórzy bezkarnie takowe sprzedawali. Hurmem się to pchało do nas i wyjadało chleb, bogaciło się zdzierstwem, przekupstwem, szachrajstwem z żydami. Tacy urzędnicy z kamery lub salin kupowali nawet dobra. To też jeszcze raz powtarzam, smutne to były czasy dla polskiej i ruskiej młodzieży. Seminaryum duchowne było jedynym przytułkiem, nie z powołania, ale dla chleba.

(C. d. n.)

UTYLITARNIE.

Uzbrój twe piersi w pancerz żelazny,
Na łeb weź czapkę, jak noszą błazny,
A usta wiecznem pochlebstwem skuj!
Ćwicz się w ukłonach, naginaj kości,
Wyzuj się ze czci i z uczciwości,
A będzie żywot szczęśliwy twój.

W nic nie wierz, nie czuj i nie myśl wcale,
W obec słabszego brykaj zuchwale,
Przed możnym kornie czoło twe chyl!
Uganiaj ciągle za dźwięcznem złotem,
Czy to uczciwie jest — nie myśl o tem,
Honorem każdą z błogich płać chwil.

Dadzą w twarz — nastaw policzek drugi,
Wyrzucą za drzwi, wleź między sługi,
Gdy cię zbezczeszczą, miej to za żart,
Tak się obracaj, jak wiatr zawieje,
Chwytaj fortunę, gdy się zaśmieje,
Grosz, choć wydarty, zawsze coś wart.

A choć cię minie uczciwy człowiek,
Ty sam przed nikim nie spuszczaj powiek,
A wstydem płonąć — ani się kwap!
Smiej się z opinii, wypychaj worek
Wypłyniesz w końcu, jak z wody korek,
Choć każdy powie, żeś prosty drab!

(Śmigus).

Uniwersalne lekarstwo.

Kiedy w kraju nieurodzaj,
Albo innej klęski rodzaj —
Szlachcic przy wina butelce
Pociesza się wtedy wielce.
Że, by radzić w owej mierze
Ankieta się wkrótce zbierze.

Gdy minister po zwyczaju
Z wielkiej miłości dla kraju,
Podatkiem naftę okłada,
I przemysł w kraju upada,
Pocieszamy się, że przecie
Poruszy się to w **ankiecie**.

Gdy na galicyjskie chmiele
Pokupu w targu nie wiele,
Szlachcic do Lwowa pospiesza
I tą myślą się pociesza,
Że ankieta jest — i że ta
Poradzi pewnie **ankieta**.

Słowem — czy bieda dokuczy,
Czy jak w szkole źle się uczy,
Czy grad, ogień, czy powodzie,
Czy też chłop umiera w głodzie,
My na wszystko to niestety
Nic nie mamy prócz **ankiety**!

(Z Djabła krakow.)

Pytania i odpowiedzi.

— Jaka jest różnica między niedźwiedziem a stańczykiem?

— Niedźwiedź liże swoje łapy, a stańczyk cudze.

— Jaka jest różnica między masłem a p. Masłowskim?

— Nie ma żadnej; jedno i drugie trzeba **smarować.**

— Podobno sułtan skomponował jakiś kawałek muzyczny, nie myślałem, że taki muzykalny.

— Nic dziwnego, on już od dłuższego czasu spiewał... cienko.

(Z D[illegible]bła krak.)

rzeczywiście ofiarowano krzesło poselskie w Stanisławowie, toby go przyjął.

Przeciwko kandydaturze szanownego hydropaty nie mielibyśmy zresztą nic do nadmienienia, jeżeli mu się już tak bardzo zachciało być delegatem do Rady państwa lub posłem i postanowił za jakąbądź cenę ozdobić swe skronie tą aureolą. Nie żałuje on kosztów i nakładów, i tak: aby ten cel osiągnąć, wydał na *Reformę* 50.000 złr., a obecnie drugie tyle kosztuje go *Gazeta narodowa*. P. Czerwiński ma jednak widocznie „pech“ jak to mówią, gdyż pomimo tak znacznych nakładów i znakomitości redakcyjnych, prenumeratorowie *Reformy* dezerterowali tak samo, jak teraz *Gazety narodowej*. Nic nie pomaga ani platonizm, ani gruchanie gołąbka, ani śpiew ptaszka, wyuczonego na pozytywce ks. prałata Stojałowskiego. Rób co chcesz, głowę susz, ani rusz. Tak samo jak p. Erazm Wolański i jego bracia, pomimo krociowych wydatków, nie mogli zrealizować swego ideału, w postaci hrabiowskiej korony, tak też niefortunnie minęło p. hydropatę krzesło w Radzie państwa. Jeżeli postanowił na nowo próbować szczęścia, to nie należało słuchać doradców, którzy go oddali pod protekcyę pp. Głogowskiego, ks. Dąbrowskiego et consortes w Stanisławowie, bo każdy wie, że jeżeli ci fabrykanci delegatów i posłów wzięli go pod swoje skrzydło, to musiał ten im być polecony przez te same znakomitości, które im dały w opiekę p. dr Bilińskiego.

Bez wyraźnych pactów conventów wyznania wiary politycznej, a oprócz tego innych, jeszcze wyraźniej przemawiających argumentów, znana spółka stanisławowska nie byłaby się podjęła tej ciężkiej pracy.

Coby mogło przemawiać za kandydaturą pana Dra Czerwińskiego hydropaty, i jego koniecznością zasiadania dla dobra kraju w sejmie, tego określić nie umiemy. Być może, że gdy się u nas okazuje wielki brak finansistów i gdy nawet importowani z dalszych stron, z po za naszych słupów granicznych galicyjskich, za drogie pieniądze, zawodzą nadzieje, a pieniądze, za które ich nabyto należy uważać za wyrzucone w błoto, to p. Dr. Czerwiński który umie tak świetnie kapitalizować zimną wodę na banknoty, mógłby się stać świetną akwizycyą na pierwszego dyrektora w jakim wielkim Banku. Stanowisko takie, byłoby rzeczywiście przyjemne dla niego, a praca niewycieńczająca sił żywotnych. Paliłby fajkę na długim, wspaniałym cybuchu z świetnym bursztynem, a od czasu do czasu dla emocyi rąk podpisywałby jaki kawałek. A weźmy do tego w rachubę chociaż marnych 10.000 złr. rocznie, to przy uciułanym już kapitaliku i dalszych procentach z destylacyi zimnej wody, byłoby to stanowisko wcale nie złe.

Są tacy, którzy twierdzą, że p. Dr. Czerwiński, hydropata, potrafiłby wszystkie wody galicyjskie tak samo skapitalizować, jak w Fürstenhofie. Że zaś z sejmu krajowego tylko jeden krok na krzesło delegata w Radzie państwa, tobyśmy też w krótkim czasie mogli ujrzeć rozczulającą i wzniosłą scenę, jak p. Dr. Czerwiński, hydropata, wpada w objęcia pana Dra Bilińskiego.

Panowie Stanisławowianie! Wybierajcie hydropatę, a wody nominalnego znaczenia „Złotej Bystrzycy“, zamienią się w prawdziwy realny kraszec.

Odwet. W gronie aptekarzy warszawskich, jak się dowiaduje *Gazeta polska*, powstał projekt zaniechania transportu materyałów aptecznych z Niemiec, a sprowadzania ich natomiast z Francyi i Anglii. W tym celu kilku farmaceutów porozumiało się z jednym ze składów materyałów aptecznych, a za przykładem ich pójść mają jeszcze i inni aptekarze warszawscy.

Otóż możemy donieść z prawdziwą radością, że nietylko w Warszawie biją jeszcze gorące serca, którą czują niepraktykowaną w dziejach krzywdę, jaką przedstawia wydalanie Polaków z Prus, ale serca takie biją i u nas na Rusi czerwonej, nawet nad Pełtwią, której niewonne miazma nie potrafiły jeszcze zamienić krwi ciepłej czerwonej w limfę.

Koniec Września i początek Października jestto tak nazwany sezon, w którym wojażerowie składów aptecznych niemieckich przybywają do Lwowa, dla przyjmowania zamówień. W tym roku zleciało ich się nadspodziewanie wielu, interesa ich jednakowoż nie wypadły bardzo świetnie, bo znalazł się aptekarz lwowski, obywatel nasz z krwi i kości p.

Andrzej Kochanowski

właściciel apteki pod Tytusem, przy ul. Czarneckiego, który wypowiedział panom wojażorom von Draussen, że zrywa wszelkie stosunki ze składami aptecznymi i fabrykami niemieckiemi, i nadal zaopatrywać się będzie w fabrykach wiedeńskich, francuskich i angielskich.

Czyn ten zasługuje na powszechne uznanie wszystkich obywateli kraju i nie wątpimy ani chwili, że pomiędzy aptekarzami galicyjskimi znajdzie się jeszcze nie jeden Andrzej Kochanowski.

Ulica Łyczakowska stała się zbiornikiem cierpień fizycznych wszelkiego rodzaju i gatunku; a mianowicie przy tej ulicy, prócz zakładu głuchoniemych i ciemnych, mieści się szpital wojskowy z kostnicą, szpital powszechny „Pijary“, obok tego szpitalik dla dzieci -- oraz kostnica i pralnia.

Przeciw temu mieszkańcy Łyczakowa nie mieliby nic, gdyż zakłady te stoją oddzielnie i nie sprawiają przykrego wrażenia; ale rzeczą iście niepojętą jest, dlaczego Wydział krajowy ukarał to przedmieście, umieszczając w kamienicy tak zwanej Miączyńskiego, oddział skórny męzki i żeński. Kamienica ta położeniem nieodpowiedniem, wcale się nie kwalifikowała na umieszczenie tego oddziału, bo czyż jestto stosowne i zgodne z wszelką moralnością, by obok kościoła św. Antoniego w sąsiedztwie szkoły i klasztoru pp. Franciszkanek, umieszczać podobny oddział, z którego okien przechodzień słyszy najpotworniejsze epitety i najohydniejsze rozmowy, prowadzone przez mężczyzn i kobiety najgorszego gatunku.

Wprawdzie zaradzono temu i pomalowano okna, ale to nieprzeszkadza, by je można otworzyć. Prócz tego, bez najmniejszego skrupułu chorzy wyrzucają przez okna szarpie, szmaty i inne t. p. przedmioty na głowy przechodniom, którzy są już do rozpaczy przyprowadzeni, gdyż dzieci kupami się gromadzą, słuchając cynicznych i bestjalskich rozmów, młode panienki zaś formalnie przejść nie mogą, a tak samo i mężczyźni.

Możeby Wydział krajowy raczył w to wglądnąć i oddział ten przeniósł do szpitala głównego, a natomiast dał oddział ciemnych, rannych lub jaki mu się podoba, by tylko tym bezeceństwom koniec położyć i uwolnić mieszkańców ulicy Łyczakowskiej od tej „plagi egipskiej“.

(Czy fakta te nie są wiadome świetnemu prezydyum w magistracie? Red.)

Zapytujemy świetne Prezydyum Magistratu i Radę miasta Lwowa, czy konkursa i warunki w tychże konkursach zawarte, jeżeli idzie o zajęcie jakiej posady w magistracie, są tylko tak sobie nic nie znaczącą formułką, która ani Prezydyum magistratu, ani Radę miasta nie obowiązuje?

Zdaje się jednakowoż, że tak jest rzeczywiście, że warunki pewne w konkursach są tylko formułkami i nic więcej. Do twierdzenia takiego upoważnia nas konkurs, rozpisany na posady techniczne w magistracie lwowskim, w którym to konkursie wyraźnie jest powiedziane, że ci kandydaci mają pierwszeństwo, którzy mogą się wykazać świadectwami, że pokończyli studya techniczne i poskładali egzamina rządowe. Dla zbadania tych warunków o ile nam wiadomo, odbywa się w Prezydyum magistratu zestawienie listy kwalifikacyjnej każdego kandydata. I zgłosili się rzeczywiście kandydaci, posiadający studya techniczne, a nawet egzamina państwowe. Tymczasem cóż się dzieje? Swiadectwa z odbytych studyów i egzaminów państwowych, składa się na bok, jako zupełnie niepotrzebne alegata, a forytuje się po prostu np. na adjunkta oddziału budowniczego przez magistrat proponowanego pupila, któremu się ani śniło o ukończeniu studyów technicznych, a tem mniej o składaniu egzaminu państwowego.

Zapytujemy, na co się zda publikowanie w konkursach warunków, których ani Prezydyum magistratu, ani rada miasta nie wymagają? Po co durzyć i kpić sobie po prostu z ukończonych techników, inżynierów i budowniczych, posiadających świadectwa kwalifikacyjne, jeżeli pierwszy lepszy protegowany niedouczek ma przed nimi pierwszeństwo? Jestto wielka krzywda dla ludzi wykształconych fachowo, bo pocóż im ślęczeć lata na politechnikach krajowych i zagranicznych, poco się mozolić składaniem egzaminów państwowych, poco się łudzić konkursami, gdy to wszystko pokazuje się później jako zupełnie zbyteczne i jeżeli rzeczywiście ukwalifikowany śmiertelnik nie posiada silnych pleców i protekcyi, jeżeli nie umiał sobie zaskarbić szczególnych łask, to nie powinien wchodzić w drogę pierwszemu lepszemu niedoukowi.

Taka sprawa jest obecnie w magistracie na porządku dziennym, która na najbliższem posiedzeniu Rady miasta zostanie niezawodnie rozstrzygniętą i ma bądź co bądź być rozstrzygniętą blaga konkursowa, na rzecz ulubionego i silnie protegowanego niedouczka.

Jeżeliby rzeczywiście tak się stać miało, natenczas zmuszeni będziemy podnieść tę sprawę wyraźniej wobec szerszych kół obywateli miasta, a powtórzyć ją może jeszcze skuteczniej w czasie wyborów, które w tym roku są na porządku dziennym.

Przyczynek do dziejów „Gazety narodowej“. P. Wincenty Witołd Krówczyński wstąpił do *Gazety Narodowej* d. 1. kwietnia b. r., podejmując się w niej współpracownictwa za miesięczną pensyę 75 złr., płatną z góry. Angażował go osobiście Dr. Jan Czerwiński z Fürstenhofu, właściciel *Gaz. Nar.* — Dnia 1. października b. r. przyszedł p. Krówczyński jak zwykle dla spełnienia przyjętych na się obowiązków, lecz wprzód wstąpił do Administracyi, dla pobrania należącej mu się pensyi. Nie zastał on p. administratora Milewskiego. Wtem zjawia się w Admistracyi p. Platon Kostecki, wywołuje p. Krowczyńskiego na podwórze i oświadcza, że z dniem 1. października traci p. Krowczyński zajęcie w *Gaz. Nar.* — Na zapytanie p. Krówczyńskiego, czy p. administrator Milewski ma polecenie wypłacić należącą mu się miesięczną pensyą, odesłał go p. Platon Kostecki do p. Milewskiego, zapewniając zarazem, że żegna p. Krówczyńskiego z przykrością, gdyż przyznać musi, że pracował nad siły, przezco zjednał sobie prawdziwą sympatyę wszystkich współpracowników. — Tymczasem p. Milewski oświadczył, że tylko na pisemne rozporządzenie Redakcyi wypłaci p. Króczyńskiemu pensyę miesięczną, czego p. Milewski nigdy przedtem nie przestrzegał), i odesłał p. Krówczyńskiego do Redakcyi. Redakcya oświadczyła, że nie ma prawa wydawać takiego rozporządzenia i odesłała p Krówczyńskiego po informacye do p. dr. Jana Czerwińskiego, który bawił podówczas w Fürstenhofie. — Dodajemy nadto, że p. dr. Jan Czerwiński bawił na tydzień przedtem przez kilka dni we Lwowie i wyrażał się z uznaniem o pracy p. Krówczyńskiego, jakoteż że p. Platon Kostecki wypowiadając miejsce p. Krówczyńskiemu, nie umiał mu podać ani pobudek odprawy ani osobistości, która mu poleciła dać odprawę P. Platon Kostecki oświadczył p. Krówczyńskiemu, że czyni to z polecenia.

Wskutek tego postąpienia Redakcyi, wytoczył p. Krówczyński proces p. Dr. Janowi Czerwińskiemu z Fürstenhofu; skarga została już wniesioną do sądu przez brata poszkodowanego, adwokata Dr. Marjana Krówczyńskiego.

Sprawę tę podajemy do publicznej wiadomości, pisząc „w rękawiczkach“; uważamy zresztą wszystkie komentarze za zbyteczne, gdyż czyn dokonany dostatecznie poucza, o moralności i uczciwości tej Redakcyi.

Wet za wet. „Tygodnik rzeszowski“ donosi: Aby choć w części odbić krzywdę, jaką nam prusacy wyrządzają — postanowiło kilku członków kasyna polskiego zażądać z Wydziału, aby nadal ilustrowane pisma wychodzące w Prusiech, prenumerowane nie były. W zamian za to mają być prenumerowane pisma ilustrowane wiedeńskie i warszawskie.

Straszną zbrodnię upatrzył rektorat uniwersytetu kijowskiego w tem, że studenci małoruscy noszą haftowane ukraińskie koszule. W tych dniach, jak donosi „Zaria“ przybito na murach uniwersytetu nakaz, grożący na przyszłość amatorom haftowanych koszul wydaleniem.

Wiedeń 12. października. Stowarzyszenie rękodzielników „Zgoda“ urządziło w sobotę bankiet na cześć Smolki i Lewakowskiego, którym wręczono dyplomy członków honorowych. Obecni byli między innymi posłowie Orzechowski (wieśniak), Ochrymowicz, i Mochnacki. Spełniono liczne toasty.

PP. Bieniedzki i Hauser, dwóch młodych ludzi, wykształconych w zawodzie cukierniczym, otworzyli przy rogu ulicy Karola Ludwika i Sykstuskiej nową cukiernię. Jakkolwiek powszechne zdanie mówi, że cukierni we Lwowie jest już za wiele, młodzi ludzie muszą być swego zamiaru pewni, jeżeli założyli jeszcze jedną cukiernię, i że potrafią zyskać uznanie publiczności. Cukiernia ta zasługuje z tego względu na uwagę, że pp. Bieniedzki i Hauser nie szczędzili znacznego nakładu, aby zakład ich odznaczał się wykwintnym komfortem. Dokonali oni tego, posiłkując się o ile tylko było można, rękodzielnictwem i przemysłem krajowym.

I tak: pokoje malowane są artystycznie farbami, zaprawianemi lakierem z odpadków naftowych z fabryki Adama Berskiego i Spółki w Drohobyczu. Jestto pierwsza próba w tym rodzaju we Lwowie, zastósowana w lokalu publicznym. Sposób ten dekorowania i malowania użyty właściwie, ma tę dodatnią stronę, że farby schną nader szybko, trwają długie lata i nie zmieniają koloru, a ściany lub przedmioty niemi pociągnięte, dają się wybornie myć gąbką i ciepłą wodą. Pokost w nich zawarty czyli lakier chroni od wilgoci, a jakość farb jest taka, że się da użyć do najwytworniejszego malarstwa dekoracyjnego. Dziś można już twierdzić, że to jest farba przyszłości, szczególnie dla lokalów publicznych i wszelkich budynków. Największą zaś zaletą tych farb jest obok dobroci i trwałości taniość.

Meble i wszelkie urządzenie, naśladujące heban, pochodzą z pracowni towarzystwa pomocników stolarskich przy ulicy Kopernika. Roboty te świadczą nietylko o uzdolnieniu dzielnych młodych stowarzyszonych pracowników, ale o ich fachowem wykształceniu, które jest wzorowe. Nas jednak nie zadowolnił jedynie widok tego umeblowania i urządzenia. Zapytaliśmy się pp. właścicieli cukierni o cenę, jaką zapłacili i z przyjemnością usłyszeliśmy, że ceny te są nader umiarkowane, odpowiadają zupełnie wartości swej, a co się u nas nader rzadko zdarza, dostarczenie robót nastąpiło jeszcze prędzej, aniżeli do tego zobowiązywała umowa kontraktowa. Że takie towarzystwo za-

sługuje na poparcie, o tem nie potrzebujemy mówić.

Pp. Bieniedzki i Hauser zaopatrując się we wszystko, co tylko było możebnem, u miejscowych rękodzielników i przemysłowców, pojmują tylko dobrze swój obowiązek obywatelski, wzajemnej pomocy, a więc zasługują na uznanie.

Kamienice przyszłości we Lwowie. Nie można zaprzeczyć, że ruch budowlany domow mieszkalnych we Lwowie, wzmaga się szczególniej od lat kilku znacznie. Całe place i ulice przeistaczają się, a frontony tych budowli zaczynają nawet imponować. Cóż z tego, gdy świetność ta jest przeważnie tylko zewnętrznym blichtrem, po prostu łapką na łatwowiernych śmiertelników, którzy za drogie pieniądze wyzyskiwani są po prostu przez panów „r e a l n o ś c i o w y c h“, którzy wszelkie wygody lokatorów uważają za niepotrzebny l u x u s. Panowie ci nie mogą w żaden sposób zrozumieć tego i pojąć własnych korzyści, że pomieszkania urządzone w warunkach zdrowotnych i ku wygodzie zajmujących takowe, znacznie się przyczyniają do podniesienia procentów od włożonego kapitału. Pod tym względem zaznaczyć możemy we Lwowie niestety tylko wyjątki. Przyczyną zaś tego jest, że liczba rzeczywistych właścicieli posiadłości, budujących domy i kamienice z własnego natchnienia i woli, jest zbyt małą; najwięcej zaś budowli wykonuje się przez spekulantów i na spekulacyę. Nie dziw więc, że kamienica świeżo wykończona, wygląda jak ta kokietka, wyróżowana, wyblanszowana, ufryzowana, a okryta modnie skrojoną suknią, może jakiemu frycowi zawrócić na chwilę głowę, który później ciężko pokutuje w skutek swej łatwowierności i braku znawstwa. Nie będziemy tu szczegółowo rozbierać, z czem mają do walczenia biedni lokatorowie w takiej kamienicy, zbudowanej na spekulacyę. Niesumienność budujących dochodzi do tego, że chociaż im wiadomo, jakim zbiornikiem dla wilgoci jest kotlina lwowska, chociaż mają za bezcen asfalt krajowy, w rzadkich tylko wypadkach dają warstwy izolacyjne pomiędzy cokułami a murami. Wilgoć rozszerza się nadzwyczaj szybko i można często widzieć, jak po jednym lub dwu latach, gdy mury powinne już być wyschnięte, ściany są na wskróś przemokłe aż do pierwszego piętra.

Wobec takich handełesowskich budowli, zaznaczamy na tem miejscu prawdziwy postęp. Zwrócono naszą uwagę na kamienicę świeżo zbudowaną przy dolnej Sykstuskiej ulicy. Dom ten jest własnością p. Dra Jackowskiego, adwokata krajowego. Obejrzawszy go od piwnic aż do strychu, doznaliśmy nader miłej niespodzianki, a którą uważamy podać do publicznej wiadomości.

Do budowy tej kamienicy dwupiętrowej użyty przedewszystkiem został najdoborowszy materyał, tak kamień, cegła, wapno, cement, jakoteż suche drzewo. Styl zewnętrzny spokojny, o bardzo pięknych liniach. Główną ozdobą jego jest nad balkonem pierwszego piętra popiersie Kopernika. Zeszedłszy do piwnic zastaliśmy tam jasne i suche oddziały tychże, połączone kurytarsami z przeznaczeniem dla każdej partyi zamieszkałej. Obok tychże w suterenach ku podwórzowi wspólny kurnik na drób, zakupywany żywy na targach, przez co unika się tak zwanych „kojców“, zanieczyszczających podwórka, piwnice, a nawet kuchnie. Mieszkanie stróża w suterenach kompletnie przyzwoite, z jasnem oknem na cały dziedziniec, koncentruje wszystkie dzwonki elektryczne, zaprowadzone we wszystkich mieszkaniach, tak, iż w każdym wypadku stróż może być wezwany. Dalej mieści się pompa mechaniczna z kołem w osobnej ubikacyi, która zaopatruje wodociągi rozgałęzione po wszystkich piętrach i kuchniach pojedynczych partyj. Żelazne emaliowane baseniki dostarczają w każdej chwili według potrzeby wody.

Tuż obok przez ścianę wchodzi się do dużej suterenowej izby, która urządzoną jest z wszelkiemi wygodami na pralnię, gdyż w kuchniach stanowczo prać nie wolno. Pralnia tak urządzona w domu jest prawdziwem dobrodziejstwem dla mieszkańców. W pralni tej nader obszernej mieści się również piec piekarski na ciasta, bułki i t. p. Tak ten piec, jakoteż i palniska w pralni, w których objęte są kotły, zbadowane są z kafli emaliowanych. Drugi oddział mieści znowu wspólną łazienkę, którą każda partya może raz w tygodniu przez jeden dzień używać. To jest już najzupełniejsza nowość we Lwowie. Zwiedziwszy pomieszkanie wszystkich piąter, przyklasnąć tylko można wybornemu rozkładowi i zaopatrzeniu takowemu, jakie tylko hygiena wskazywać może. Połączenie pokojów osobnymi kurytarzami dla każdej partyi z kuchnią, śpiżarnią i waterklozetem, nie naraża mieszkańców na przeciągi i czyni ich rzeczywistymi panami, nie potrzebującymi wchodzić w jakiekolwiek styczności lub kolizye z innemi partyami. W ścianach kurytarsków pomieszczane są głębokie szafy, które przedstawiają nieocenioną dogodność dla gospodyń. Przy kuchniach są maleńkie, schludne i jasne pokoiki dla służących.

Urządzenia kuchenne są to prawdziwe cacka angielskie. W pokojach wentylatory, okna i piece w ścisłem tego słowa znaczeniu hermetycznie się zamykające. Malowidła gustowne, posadzki pyszne, szczególniej w salonikach (z fabryki pp. Wczelaków). Nie wolno nam pominąć prześlicznych poręczy schodowych z warstatów p. Ptaszka przy ulicy Sykstuskiej. Są to artystyczne wyroby z trybowanego żelaza. Dziedziniec cały jest wolny od wszelkich zabudowań i zakamarków, przyczyniających się do nieczystości i psucia zdrowego powietrza.

Dziedziniec ten zamieniony jest w ogródek, dla użytku partyj mieszkających, a mianowicie dla dziatwy, aby ta miała gdzie odetchnąć i zabawić się. Każda partya ma swój osobny strych zamykany, do suszenia bielizny etc. Budowniczym tej kamienicy był p. Michał F e c h t e r, a kierownikiem robót budowlanych p. Bodaszewski, asystent. Nie jest to pierwsza budowla w tym rodzaju, gdyż tak samo ma być zbudowana kamienica p. Łopuszańskiego przy ulicy Sykstuskiej przez budowniczego p. Lewińskiego.

Na Zofiówce zaś oglądaliśmy prześliczną willę także z tego rodzaju wszelkiemi postępowemi dogodnościami, zbudowaną przez p. Albina Zagórskiego. W stosunku jednakowoż do tych budowli, które się wykonują, zwyż opisane są to tylko dopiero kamienice i domy p r z y s z ł o ś c i we Lwowie.

Wystawa farmaceutyczna i hygieniczna. Warszawa przechodzi obecnie manię wystaw — szczęściem że wszystko kończy się na projektach. Liczny spis tych pięknych „pomysłów“ powiększył się obecnie jednym więcej, gdyż jeśli wierzyć pismom, w roku przyszłym zamierzoną jest wystawa farmaceutyczna. Jakkolwiek każdy fach może mieć interesującą dla siebie wystawę, atoli jeżeliby podobna propozycya przyszła do skutku, to życzyćby trzeba, aby panowie farmaceuci złączyli się z gronem doktorów i już wspólnemi siłami dali nam choć w miniaturze, jedynie racyę bytu mającą: wystawę hygieniczną. Ponieważ u nas znajomość hygieny jest tak mało upowszechnioną, a umiejętność ta stanowi dziś jeden z ważnych składowych wyników wiedzy, obowiązującej każdego wykształconego człowieka, przeto rozumnie urządzona wystawa hygieniczna, miałaby nader doniosłe znaczenie. — Co się tyczy środków, to jeżeli one znaleść się mają dla urządzenia wystawy farmaceutycznej, znajdą się zapewne dla szerszego przedsięwzięcia, któreby objęło nietylko farmaceutykę, ale i inne gałęzie pomocy dla cierpiącej ludzkości. — Zainteresowanie się tak wpływowych sfer jak lekarskie, da niewątpliwą pewność, iż całe przedsięwzięcie uwieńczonoby zostało pomyślnym skutkiem.

Przed paru tygodniami *Czas* w kronice swojej zawiadomił, że niejaka Jędrzejowska, służąca, popełniła s a m o b ó j s t w o, wyskoczywszy na bruk oknem z trzeciego piętra przy ulicy Brackiej. W dni kilka dodał, że zmarła, cierpiała na pomieszanie zmysłów — gdy tymczasem według opinii wszystkich, którzy ją znali — a była to poczciwa, pracowita, pobożna i przy najzdrowszych zmysłach biedaczka, która uciekłszy oknem z pokoju, po trzech kwadransach stania na gzymsie trzeciego piętra spadła i zabiła się na bruku! — Zatem *Czas* j u ż z a b i t ą bił jeszcze po śmierci, zrobiwszy z moralnej i pobożnej osoby: s a m o b ó j c z y n i ę — a później z niewiadomych przyczyn jeszcze i warjatkę.

Gdyby nie energja niezłomna wniosłego chrześcijanina i gorącego kapłana, księdza Żulińskiego — to konsystorz, klinika, publiczność, a może i władza policyjna byłyby w błąd wprowadzoną — za pośrednictwem tego moralnego pisma!

Ksiądz Żuliński zwalczył różnego rodzaju zapory ewangeliczną siłą, jaką nadaje oburzenie cnotliwych i pochował na cmentarzu nieszczęśliwą ofiarę— mając nad jej grobem przemowę, która do łez poruszyła obecnych.

Cześć Ci obrońco uciśnionych“.

Z naszej strony nic tutaj nie dodajemy, albowiem sprawa ta znajduje się w sądowem śledztwie. Zapewniamy jednak, że jeżeli okażą się prawdziwemi pogłoski, które objaśniają śmierć tej nieszczęśliwej służącej — to zły czyn, napiętnujemy z całą otwartością jak zawsze, nie naśladując pewnych dzienników, które w bawełnę obwijają nazwiska występnych. Tu tylko przyłączamy się całem sercem do wyrażenia zasłużonej czci szlachetnemu kapłanowi księdzu Kazimierzowi Żulińskiemu.

Djabeł krak.

Echa z Warszawy. Gdybym się nie obawiał, aby mnie jaki publicola posądził o jaką histeryę literacką, napisałbym czytelnikom pewną historyjkę o pewnym umitrowanym, pewnej chórzystce i pewnych pieniądzach, które zniknęły gdzieś z horyzontu, a w konsekwencyi wywołały podobno maleńki proceśik kryminalny. Że jednak między historyą nie był czasem wykwitem takiej fantazyi, jak owe wieczorki wełniane, na jakich miano zbierać bajońskie sumy w tym samym celu, a które jednak nie zapłaciły wpisu ani jednego i z latarką niedodobna odszukać tego szczęśliwca, coby się opłaconym wpisem mógł poszczycić. Natomiast, znalazłem bardzo wielu szczęśliwców, którzy mogą się poszczycić kołnierzykami a la Zimajer, będącymi importem najświeższej mody berlińskiej. Ciekaw też jestem tylko jednej rzeczy, a mianowicie, co uczyni pan minister Puttkamer wobec tych kołnierzyków. Pani Zimajer, o ile mi wiadomo, dotąd przynajmniej jest warszawianką, a więc kwalifikuje się do prawa „ausrotten“, tem samem i jej kołnierzyki — a jak tu pogodzić to prawo z tym aplauzem dla naszej śpiewaczki operetkowej. Przeczuwam, że będzie tu znów kwestya europejska z temi kołnierzykami. Tymczasem cieszę się niewymownie, że ubiegły tydzień miał sposobność obserwować tylko dwa morderstwa i samobójstw parę. Żonę zamordował mąż, a stróża z Leszna ktoś, o kim nikt nie wie. Przyczyną samobójstw, w większej ilości, była miłość, która jak wiadomo, w zatrważający a epidemiczny sposób szerzy się śród zwykłych śmiertelników. Sensacyjny proces był tylko jeden i to o jakieś marne zatrucie wody z powodów konkurencyjnych. Dwaj żydzi pp. Gewiss i Goldsztern, dzierżawiący młyn w majątku p. Wójcickiego w Garwolińskiem, uczuli konkurenta w wiejskim Wojdacie — do wydzierżawienia młyna, skutkiem tego oburzeni byli nań wielce i jak stwierdził akt oskarżenia, pewnego poranku tak zatruli studnię z wodą Wojdata, iż cała jego rodzina zachorowała, a przeniosło się do wieczności nawet pięć kaczek; o figiel ten obwinił ojca syn Gewissa, który chciał przyjąć wyznanie chrześciańskie i zeznanie kompromitujące uczynił dwóch potentatów młynarskich okolicy. Pomimo to, iż następnie je cofnął, w obydwu instancyach skazani zostali panowie bankruci na lat pięć do robót ciężkich, a ostatnia instancya wyrok ten z małą potwierdziła modyfikacyą.

TEATR.

„Dyoniza“ (Denise), Komedya w 4. aktach A. Dumasa, odegrana na scenie skarbkowskiej po raz pierwszy dnia 12. Października r. b.

Dla czego Dumas nazwał to dzieło sceniczne „komedyą“, tego zrozumieć nie możemy; a trudno twierdzić, jakoby tak znakomity autor uważał życie ludzkie za „komedyę“.

„Dyoniza“ jest to właściwie jeden z tych przez Francuzów tak ulubionych traktatów filozoficznych, których przedmiotem głównym jest kobieta. Dyoniza ma być uosobnieniem traktatu kobiety upadłej, w celu przyjścia do przekonania, że nie zawsze wolno społeczeństwu rzucić na nią kamieniem potępienia.

Pojawienie się na deskach teatralnych tego utworu wywołało we Francyi i gdzieindziej wiele hałasu i sporów zasadniczych, które i dotąd jeszcze pro i contra potępiają i bronią poglądów autora. Dyoniza nie jestto kobieta upadła w zwykłem słowa znaczeniu, t. j. postępująca od upadku do upadku. Dyoniza jest córka najzacniejszych rodziców, mianowicie ojca, człowieka najszlachetniejszych zasad demokratycznych, które nie są w jego życiu i nie były frazesem, ale kardynalnymi przykazaniami w czynie. Matka Dyonizy, nieposzlakowanej również czci i pałająca całą potęgą miłości dla córki. To zdaniem naszym jeden obóz w dziele autora. Drugim jest towarzystwo tak nazwanych wyższych sfer społecznych, które z mieniem lub bez tegoż, opierają się twardo na przywilejach rodowych, a wyćwiczeni dobrze w formach świecenia pozorem moralności i cnót domowych, broją w wyrafinowany sposób. Biada jednak temu, kto odkryje zasłonę tej wrzekomej moralności. Zdaje nam się, że Dumas, tworząc tę komedyę z żywota ludzkiego, dosyć wyraźnie zaznaczył te dwa obozy.

Treść sztuki podajemy w krótkich zarysach, która jest następującą:

Hrabia Andrzej utracił rodziców, odziedziczywszy po nich znaczny majątek. Pozostała mu młodziutka siostra, lecz ta w klasztorze na pensyi. Młody człowiek zapałał pierwszą miłością do pani de Thauzette, starszej znacznie od siebie, mężatki, która była jego kochanką. Ta ma syna Fernanda, wychowanego bardzo gładko, lecz bez zasad jakiejkolwiek moralności. Po miłostkach pozostał stosunek przyjaźni hr. Andrzeja do pani de Thauzette. Wiązały ją również dziwnym sposobem długoletnie stosunki przyjaźni z państwem Brissot, rodzicami Dyonizy, którzy majątkowo podupadli. Staraniem pani de Thauzette dostała się rodzina Brissot do hr. Andrzeja, ojciec został zarządcą, a matka zajęła się domem. Dyoniza posiadająca wyższe wykształcenie i nader ujmującą powierzchowność, przyjmuje miejsce guwernantki a raczej towarzyszki przy siostrze Andrzeja, którą tenże sprowadza z klasztoru. Pani de Thauzette bywa z synem i chce go ożenić z Martą, siostrą Andrzeja. Młoda panienka pozwala się usidlić gruchającemu gołąbkowi, a rzeczywiście lampartowi bez czci i wiary, który poprzednio kochał się w Dyonizie i był kochany, a później ją porzucił. Dotąd nikt nie wiedział o tym dawnym

stosunku w domu hr. Andrzeja. Dyoniza postanowiła użyć wszelkich sił, aby młodziutka Marta nie wpadła w sidła Fernanda i ich związek nie przyszedł do skutku; a czyniła to jedynie dla tego, że znała całą potworność dawnego kochanka. Ona to błagała Andrzeja, aby nie wydawał siostry za Fernanda. Dokonała swego tem łatwiej, że hr. Andrzej pokochał całą duszą Dyonizę i ona go kochała. Jedno i drugie strzegło się, aby nie wyjawić swych uczuć. Gdy hr. Andrzej odmówił ręki siostry matce Fernanda, ta uważając za główną sprężynę tej odmowy Dyonizę, rzuciła mu w twarz, że hr. Andrzej jest jej kochankiem.

Tu zaczyna się sytuacya dramatyczna potęgować. Hr. Andrzej ma przyjaciela, Thouvenin, przemysłowca, człowieka pracy, dziwnie prawego, a że Andrzej oprócz błędów popełnionych w pierwszej młodości pielęgnuje w duszy szlachetne zasady, to też stosunek tych dwóch przyjaciół jest szczerym i trwałym, a oddziaływającym zbawiennie na Andrzeja. Zwierzając się z swą miłością do Dyonizy, słucha rad przyjaciela i postanawia ją wziąć za żonę, z czem się tai przed matką Fernanda, ale ta rzuca straszne podejrzenie na Dyonizę, że była już czyjąś kochanką. Hr. Andrzej postanawia więc za jakąbądź cenę zabić tę miłość w sobie, dowiadując się, że Dyoniza była kochanką Fernanda. Matka usprawiedliwia te miłostki i usiłuje znowu przedstawić je jako niewinne. Hr. Andrzej wzywa Fernanda i zaklina go na wszystko, aby mu powiedział prawdę. Fernand przysięga, że kochał się i był kochany przez Dyonizę, potem ten stosunek zerwał, ale nic więcej nie było pomiędzy nimi.

Po tem oświadczeniu prosi Andrzej o rękę Dyonizy jej rodziców. Ci nie zgadzają się tak łatwo na ten związek, mianowicie matka ; pozostawiają decyzyę córce. Ta wezwana, gdy rodzice się oddalają, przyznaje się, że kocha Andrzeja i wie o tem, że jest przez niego kochaną; gotowa życie za niego poświęcić, ale żoną jego być nie może. Zaklina Andrzeja, aby nie dawał siostry Fernandowi, bo to zbrodniarz. On ją nikczemnie uwiódł i były skutki tej zbrodni, a potem ją haniebnie porzucił, a więc dziś jako kobieta upadła nie może być żoną zacnego człowieka. Następuje straszna scena pomiędzy ojcem a córką, a następnie pomiędzy ojcem a matką. Thouvenin staje w obronie Dyonizy i używa wszelkiej wymowy aby Andrzeja przekonać, że ona jest niewinną, ofiarą i nie może być potępioną. Marta, która przedtem nienawidziła Dyonizę, jako wrzekomą nieprzyjaciółkę swoją, która jej chce wyrwać Fernanda, dowiedziawszy się o jego krzywoprzysięztwie, o ohydnych kłamstwach i nikczemności, postanawia wrócić do klasztoru natychmiast i zostać zakonnicą. Rzuca się w objęcia Dyonizie i wzywa ją, aby razem szukały przytułku i spokoju w murach klasztornych.

Dramat ten znakomicie technicznie przeprowadzony, pełen wielu wzniosłych myśli filozoficznych, dochodzi w tej scenie do zenitu, aby się zakończyć bardzo miernym szmermelem. Hr. Andrzej po długiem wahaniu idzie za radą Thouvenina, chwyta w objęcia Dyonizę, Marta nie idzie do klasztoru, a po zapadnięciu zasłony dają sobie niezawodnie wszyscy buzi. Takiego zakończenia trudno się było spodziewać. Gdyby nie ograniczone miejsce w łamach pisma naszego, byłoby warto podnieść mnóstwo ciekawych scen, ale te musimy pozostawić czytelnikowi, gdy sam pójdzie na przedstawienie Dyonizy.

W pierwszym akcie wchodziły jeszcze dwie osobistości: uosobienie starej grzesznicy arystokratycznej, dewodki, której się udało złapać jeszcze męża, wdowca, nie lepszego od siebie, ale para była dobrana, jak w korcu maku.

Przystąpmy teraz do oceny gry artystów. Oto nasza nieoceniona mateczka wszystkich scen polskich p. Aszpergerowa, w roli pani Brissot, elektryzowała publiczność do wysokiego stopnia. Nie stać nas na słowa uznania, jak ta znakomita weteranka sceny narodowej włada jeszcze dziś pełną siłą klasycznej gry, jakiej zapewne u matek scenicznych nie tak prędko się doczekamy. Grzmoty oklasków, to nie były objawy frazesów osobistych przyjaciół, ale w całem tego słowa znaczeniu uznanie i cześć. Wybornie jej też akompaniował w grze obecnie nestor sceny lwowskiej p. Marceli Zboiński. Jego Brissot był ucieleśnionym typem, a tak samo duchem doskonałym, jakiego sobie niezawodnie życzył autor. O! bo nasz „Marcelek“ jak tylko chce i ma wolę po temu, to umie dawać koncerta na deskach sceny narodowej. Były sceny w grze jego tak dramatyczne, że aż dreszcz grozy przejmował widza.

Pani Stachowicz, (Dyoniza), zdobywa sobie coraz więcej uznania. Gra jej w słowie i ruchach zaczyna przybierać takie szlachetne kształty, iż nie mamy najmniejszej obawy, aby scena nasza doznała próżni i niedostatku w przedstawianiu najtrudniejszych ról, które wymagają nie codziennej, ale klasycznej gry. Szczególniej zasługuje pani Stachowicz na uznanie, że umiała w roli nader trudnej pominąć wszystkie rażące prądy, oraz nader jaskrawe ustępy i sceny, jakich w tym utworze nie brak. Która artystka tego nie zrozumie, to bohaterka sztuki jak Dyoniza nie przedstawi się inaczej, jak tylko kobietą upadłą. Widocznie p. Stachowicz myśli nad każdą rolą i nie uczy jej się tylko na pamięć, — a to ztąd pochodzi, że jest rzeczywiście artystką dramatyczną.

Pani Nowakowska w roli pani de Thauzette była również wyborną, co nas bynajmniej nie zadziwia, ale zauważaliśmy po raz pierwszy, jak tylko panią Nowakowską widujemy na scenie, że nie umiała roli na pamięć ani w ząb, a sufler zmuszony był czynić wielkie wysilenia, aby ją wybawić z kłopotu.

Panna Pysznik w roli Marty, nie zadowolniła publiczności, bo przedewszystkiem musi się nauczyć, jak to trzeba chodzić po deskach scenicznych. Rola ta nie była dla niej absolutnie. Dziwna rzecz, że tego reżyserya nie wie i oddaje takie role na pierwsze przedstawienia sztuki w ręce siły co najmniej nie odpowiedniej. Wprawdzie w ostatnim akcie grała pna Pysznik lepiej cokolwiek, lecz to nie zatarło wrażenia z pierwszych aktów.

P. Kwieciński jako Fernand, wywiązał się tak z tego zdaniem naszem nader blado nakreślonego charakteru i najsłabszego w stosunku do innych, z całą pewnością i zrozumieniem wytrawnego artysty, jakim jest p. Kwieciński. Nic łatwiejszego nie było, jak grając taki blady charakter, zaledwie zaznaczony w konturach zejść wrzekomo dla zdobycia wrażeń na manowce i przedstawić nieżenującego się lamparta. P. K. pojął tę rolę inaczej, panując od początku do końca nad Fernandem, aby ten był w najlepszym stylu młodzieńcem salonu, a pazurki swej namiętności chował w ścisłem ukryciu. Było to więc wszystko, co artysta z tej roli mógł zbudować.

Panu Lubiczowi przyszła również z łatwością rola Touvenina. Oddał ją nieźle, ale zdaniem naszem w ręku p. Woleńskiego wyszłaby ona korzystniej, gdyż p. Lubicz więcej ma zdolności do lwów salonowych, a może i do czarnych charakterów, co też w charakterystyce jego twarzy stanowiło kontrast i nie można się było dopatrzeć tego dzielnego, prawego przemysłowca, którego p. Lubicz pod względem charakteryzacyi nie zrozumiał.

Panna Cichocka (pani de Poutferand) i p. Ruszkowski jako Poutferand byli zupełnie na miejscu w swych rolach.

Pozostaje nam teraz tylko p. Żelazowski, jako hr. Andrzej de Bardannes. Otóż był czas, chociaż tak jeszcze przed dwoma laty, gdyśmy się spodziewali, że p. Żelazowski będzie jedną z wybitniejszych sił na scenie lwowskiej. Przypatrywaliśmy mu się i słuchali z wielką uwagą, lecz po pierwszych iluzyach, zaczęła nas gra jego coraz mniej zadowalniać. Artysta ten przeliczył się widocznie pod względem swych sił i zanadto przyszedł do własnego przekonania, że jest już artystą, chociaż mu jeszcze wiele do tego warunku brakuje. Być może, że p. Żelazowski pada ofiarą szczególniej mu życzliwych krytyków i recenzentów, którzy mu się źle bardzo przysłużyli, wmawiając w niego, że jest rzeczywiście znakomitym i ukończonym artystą. To pana Ż. zepsuło, popchnęło na najbłędniejsze manowce i wszedł na takie bagna, z których mu teraz trudno wybrnąć. Dramatyczność p. Z. staje się coraz ckliwszą, płaczącą, zmanierowaną do wysokiego stopnia. O dykcyi u niego nie może być nawet mowy. P. Zelazowski recytuje, gdy gra, tak samo jak to czynią, prawda nawet dobrzy artyści — na próbie. Recytowanie to zakrawa często na pensum szkolne, pamięciowe, które uczeń usiłuje jak najprędzej wygłosić. W ustępach prawdziwie dramatycznych zdobył się dotąd na jeden szablon, podług którego wszystkie role jednakowo traktuje. Mrużenie oczów przy każdej sposobności, zakrawa już na komikę i widz wie naprzód, kiedy pan Ż. oczy przymruży, a kiedy je otworzy i zacznie niemi błądzić po scenie. Nie możemy zrozumieć, aby to była akcya dramatyczna, tem mniej może być mowa o wielu innych ruchach, które jeżeli nie pachną bardzo przedawnioną szkołą, to przynajmniej krakowską, z czasów ery koźmiańskiej. Na dziś dosyć o p. Żelazowskim. Jedyna jeszcze nadzieja, że jest dosyć młodym. W jego szczere chęci wierzymy, ale to nie dosyć, potrzeba pracować, bardzo silnie pracować, a przedewszystkiem starać się wyzwolić od szablonowego manierowania, które jest zabójstwem dla artysty.

J. N. z O. G.

Przegląd literacko-artystyczny.

Piśmiennictwo czasowe na prowincyi podniosło się o dwa nowe organa.

W Stanisławowie zaczęła wychodzić „Kronika Stanisławowska“.

W Kołomyji „Kurjer kołomyjski“, dwutygodnik polityczno - społeczno - ekonomiczny, którego wydawcą i odpowiedzialnym redaktorem jest p. Antoni Julian Holleuder, współwłaściciel drukarni Zadembskiego. Pisma te na prowincyi są nader na czasie i pożądane, jeżeli potrafią zająć stanowiska zupełnie niezależne i odepchną od siebie wpływ klik wstecznych.

We Lwowie wyszedł pierwszy Numer „Śmigusu“, pisma humorystycznego ilustrowanego, i powitany był przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatą tak samo jak „Strażnica polska“. „Smigusowi“, aczkolwiek humor nasz polski jest dziś bardzo rzadko dobrym produktem, nie można odmówić, że posiada dobrą szczyptę atyckiej soli, której jednakowoż nie godziło się mięszać z tak niewonnemi kroplami, jak „Beata“. — Podobne wybryki humoru mogą tylko znaleść uznanie w bardzo wyjątkowych sferach, a które nie stanowią dodatniej warstwy w naszem społeczeństwie. Tego rodzaju utwory uniemożebniłyby drogę „Smigusowi“ do każdego uczciwego domu. W przekonaniu jednakowoż, że redakcya nie będzie nadal częstowała publiczności tego rodzaju cukierkami, życzymy jej wytrwałości i powodzenia.

Staraniem *Towarzystwa historyczno-literackiego* wyszła w Paryżu w roku 1859 wielka karta dawnej Polski z przyległemi okolicami krajów sąsiednich (na 1|300.000). Znakomite te dzieło kartografii polskiej, uskutecznione wedle planu i dyrekcyi jenerała Chrzanowskiego, rysowane przez słynnego topografa A. H. Dufour, składa się z 45 sekcyj, 8 dodatków i jednej karty zbiorowej. Wszystko to mieści się na 49 arkuszach, których wykonanie przecięciowo po 200 franków kosztowało. Atlas ten sprzedawał się dotąd po franków 120 za egzemplarz nie naklejony. Celem jak najszerszego rozpowszechnienia go wśród naszej publiczności, Rada Towarzystwa historyczno-literackiego uchwaliła znaczne zniżenie tej ceny, która na pewien przeciąg czasu ustanawia się w sposób następujący:

Egzemplarz z opłaconą przesyłką w Poznańskie, do Galicyi, Austryi i Niemiec oraz Francyi 36 fr.

Egzemplarz z opakowaniem i wysyłką do Królestwa Polskiego, cesarstwa moskiewskiego oraz innych krajów (transport na koszt odbierającego) 35 fr.

Egzemplarz wzięty na miejscu w bibliotece polskiej w Paryżu 34 fr. Pojedyncze arkusze karty z przesyłką pod opaską, rekomendowane, na 1 fr. 50 c.

Zamówienia z załączeniem odpowiedniej kwoty w przekazie pocztowym należy adresować: Mr. le Direkteur de la Biliothéque Polonaise, 6. Quai d'Orléans, Paris.

Głowy kokotek p. Żmurki. Widząc, że wielkie obrazy nie znajdują nabywców, p. Żmurko wziął się do malowania obrazów małych rozmiarami, choć także dość słono cenionych. Dwa takie płótna przedstawiające popiersia kokotek, zawieszone zostały właśnie przed kilku dniami na ścianach wystawy Towarzystwa zachęty i dowiodły, że tak samo trzeba umieć rysować małe, jak i duże kobiety. Obie owe panie mają biusta nieprawdopodobne, nietyle co do wielkości, ile co do kształtu. Podobne spaczone dzieła modniarek i krawców, poprawiające kształty, jakie przyroda kobiecemu ciału nadała, spotykamy wprawdzie nie rzadko na kartach pism humorystycznych jako karykatury; żeby jednak fantazye Grevena, lub innych karykaturzystów, brać za wzór do obrazków seryo i cenionych po pareset rubli sztuka, na to trzeba mieć złe wyobrażenie o umysłowych zasobach naszej publiczności. I mniej cnotliwe kobiety mogą być doskonałym modelem dla artysty, ale trzeba, by ten chciał i umiał z modelu korzystać, a przedewszystkiem wiedział czego szuka. Zgnieciona gorsetem kibić, nie będzie nigdy dobrym wzorem, a cóż dopiero, jeżeli malujemy razem z dodatkami, jakiemi moda je narzuciła. Wspomnijmy, że na manekinach z waty, fiszbinów i gumy, p. Żmurko umieścił główki modelowane słabo, o rysach zmęczonych, cerze niezdrowej, wzroku przygasłym, i t. p. Po lasku Bulońskim, więcej jeszcze po bulwarach o wieczornej godzinie, mija się dużo podobnie brzydkich kobiet, mogły więc one zawędrować i na letnie mieszkania nad morzem, gdzie p. Żmurko zdaje się zbierał wzory do swoich szkiców; czem jednak uwiecznianie takich powszechnych lafirynd da się usprawiedliwić? Czyż na to pan Żmurko zaczynał od śmierci Kleopatry, by koło Messaliny, Salambo, Małgorzaty Gautier, przejść do zwyczajnej bulwarówki i gonitwę za ideałem zamienić na pogoń za groszem? (Przedląd tygod.)

Najnowsze wiadomości.

Hr. Henryk Skarbek, który pełnił dotychczas obowiązki zastępcy kuratora fundacyi Skarbkowskiej, został na propozycyę Wydziału krajowego zatwierdzony w

charakterze **kuratora** z jedynem zastrzeżeniem, iż gdyby starszemu jego bratu Józefowi urodził się syn, natenczas zrezygnuje. Tymczasem ewentualność taka zdaje się być wykluczoną, bo hr. Józef Skarbek trzykrotnie żonaty, dożył 70 lat wieku bez potomstwa.

O naszym Andrzeju Grabowskim, możemy licznym przyjaciołom donieść, że zdrowie jego znacznie się polepszyło. Z każdym dniem wzmagają się jego siły żywotne. Pisze on z prawdziwem uwielbieniem o pieczołowitości Dr. Jany, któremu głównie pomoc lekarską zawdzięcza, a ta przy troskliwej opiece żony, która dniem i nocą nad nim czuwa, oddziaływa cudownie. W grudniu wyjeżdża nasz Jędruś do Włoch, a z wiosną da Bóg, ujrzymy go znowu we Lwowie i powitamy prawie zmartwychwstałego szczerem i gorącem sercem.

Konkurencya. Jak się dowiadujemy z dobrze poinformowanego źródła, ks. prałat Stanisław Stojałowski proboszcz kulikowski pozazdrościł miał sławy i stanowiska p. Ludwikowi Masłowskiemu, redaktorowi „Przeglądu", i postanowił stanowczo konkurować o tę redakcyę, udawszy się pod protekcyę ks. Kalinki. Ks. Stojałowski miał oświadczyć, że gdy jego poświęcenie się zostanie przyjęte, gotów nawet zrezygnować z probostwa w Kulikowie.

Targ zbożowy, handel i przemysł.

Uchwalony na posiedzeniu 6. czerwca rb. przez komitet c. k. Towarzystwa gospodarskiego galicyj. siódmy międzynarodowy targ zbożowy, odbył się we Lwowie w dniach 6. i 7. Październikar. b. pod przewodnictwem pana Bolesława Augustynowicza. Targ ten, który przeszło 600 uczestników zwiedziło, był w pierwszym dniu z powodu rezerwowego oczekiwania tak producentów, jakoteż i kupców mniej ożywionym. Drugi atoli dzień był znowu ruchliwym, i chociaż do sekretaryatu targowego stosunkowo do biorących udział w targu nie wiele zgłoszono transakcyi, to jednakowoż znaczne transakcye zawierano w hotelach, a nawet na wałach.

Największy popyt był za gotowem ziarnem i płacono: **pszenicę** gotową po 10—20 ct. wyżej notowań. **Żyto** 10—15 ct., **Rzepak** do 25 ct., a za piękny **groch** dawano 8—9 zlr.

Chmiel w pierwszym dniu targu nie miał żadnego popytu, w drugim jednakowoż za inicyatywą kilku tutejszych browarów, był dosyć znaczny popyt i kilkunastu kupców, którzy z zagranicy przyjechali, porobili dosyć znaczne transakcye, płacąc stósownie do jakości od 17,60—46 złr. za 56 Kg. i dodatki, które zwykle przy sprzedaży chmielu mają miejsce. Po ostatniej cenie został sprzedany chmiel hr. Alfreda Potockiego.

Pisząc o chmielu, mimowoli przychodzi nam zwrócić uwagę: — czy nie byłoby lepiej odbywać premiowanie chmielu nie z próbek funtowych, jak takowe producenci nadsyłają, lecz z całych wańtuchów? Albowiem zdarza się bardzo często, że najpierwsza i najlepsza chmielarnia zostaje odrzuconą na mocy jednofuntowej próbki, a inna znów, produkująca daleko lichszy chmiel zostaje na podstawie takiej funtowej próbki odznaczoną.

Przykry widok przedstawiali producenci nasi, rolnicy, którzy przybyli na targ zbożowy. Na obliczu każdego malowała się troska o przyszłość, wobec tak dotkliwie oddziaływającej zniżki cen za produkta rolne. Na rozwój produkcyi chmielu oddziałał ten targ w wysokim stopniu zniechęcająco i rzeczywiście położenie producentów jest nader trudne, ale jeżeli zechcą uwzględnić, że rolnictwo nasze taką walkę stoczyć musi, a z drugiej strony, że ona nie może trwać długo i wrogie usposobienie, mianowicie Niemców musi się rozbić o naszą wytrwałość, to targ zbożowy we Lwowie i tak niepraktykowane niskie ceny za chmiel, nie powinny zrazić naszych producentów, do dalszego rozwoju postępowych chmielarni. Obowiązkiem producentów jest zwrócić jak najwyższą troskliwość na jakość produkowanego chmielu, a wtenczas korzyści znaleść się muszą. Rok ten należy uważać za wyjątkowy; nie wolno się cofać wstecz, ale iść przebojem naprzód, bo jeżeli się cofniemy i opuścimy ręce; to nas czekają daleko większe klęski.

Od ostatniego sprawozdania naszego nie zaszły znaczne zmiany w cenach produktów rolnych, chociaż wszystkie znaczniejsze giełdy zagraniczne, jak Peszt, Wiedeń, Wrocław, Gdańsk oraz Praga, tj. giełdy, które nasobecnie obchodzą, notują znaczniej ożywiony popyt. Pomimo to ceny u nas w kraju nie doznały w pszenicy ani życie znaczniejszej zwyżki. Wyjątek stanowi groch i rzepak, które chętniejszego kupca znajdują.

Dziś notujemy **pszenicę** gotową od 6.60 - 7.25; **Żyto** od 5.30—5.80. **Jęczmień** browarowy od 5.50—8.00. **Rzepak** od 8.50—9.80 **Groch** od 5.00—9.00. **Owies** od 5.15—5.50. **Chmiel** przy traktującym obecnie kupcu notuje się **nominalnie** 20—35 złr. za 56 Kg. **Spirytus** za 10.000% litrów od 20—26.

S. S.

Pola naftowe i księgi naftowe. Sankcyonowana już ustawa krajowa, regulująca prawo do wydobywania minerałów żywicznych, wprowadza nowe urządzenie hipoteczne, które zabezpieczać będzie prawa właścicieli gruntów i przedsiębiorców na terenach naftowych.

Na nieruchomościach, które stanowią przedmiot wpisu do ksiąg hipotecznych, jakoteż na części takiej nieruchomości, prawo wydobywania minerałów, żywicę ziemną zawierających, może być odłączone od prawa własności. Odłączenie uskutecznia się przez sądownie lub notaryalnie uwierzytelnione oświadczenie właściciela, że prawo wydobywania minerałów, żywicę ziemną zawierających, ma być na przyszłość oddzielone od gruntu naftodajnego przez utworzenie dla oddzielić się mającego prawa wydobywania wykazu hipotecznego w osobnej księdze publicznej, księdze naftowej. Utworzenie tego wykazu hipotecznego uskutecznia się na podstawie powyższego oświadczenia właściciela i urzędowego potwierdzenia Starostwa górniczego, że w gruncie odnośnym znajdują się mineraly żywiczne. Wyłączone prawo wydobywania minerałów żywicznych stanowi samoistny przedmiot majątkowy i ma prawną własność rzeczy nieruchomej. Może ono aktami prawnemi między żyjącymi i na wypadek śmierci być pozbytem i obciążonem. Nabycie, przeniesienie, ograniczenie i zniesienie praw rzeczowych na wyłączonem prawie wydobywania uskutecznia się tylko przez wpisanie do księgi naftowej. Ta powierzchnia gruntu, względem której prawo wydobywania minerałów żywicznych zostało wyłączone, nazywa się polem naftowem.

Urządzenie ksiąg naftowych stanowi przedmiot osobnego rozporządzenia, które Ministerstwo sprawiedliwości wydało 15. czerwca b. r., a które ogłoszone zostanie w dzienniku ustaw krajowych równocześnie z krajową ustawą naftową. Dla informacyi przytacza „Gaz. Lwow." essencyonalne przepisy tego rozporządzenia.

Księgi naftowe założone być mają w Sądach prowadzących księgi gruntowe co do tych nieruchomości tabularnych lub nietabularnych, od których według ustawy oddzielone zostają pola naftowe. Z oddzielonych pól naftowych mają być utworzone wykazy hipoteczne księgi naftowej.

W Trybunałach sądowych mają być złożone dwie księgi główne, jedna dla pól naftowych, które oddzielone być mają od nieruchomości tabularnych, druga dla pól naftowych, które oddzielone być mają od nieruchomości nietabularnych. — W Sądach powiatowych zaś założona będzie tylko jedna księga główna dla wszystkich pól naftowych oddzielonych od wykazów hipotecznych księgi gruntowej.

Jeżeli pole naftowe wydzielone zostaje w części z księgi gruntowej Trybunału sądowego, a w części z księgi gruntowej Sądu powiatowego, to co do utworzenia wykazu hipotecznego księgi naftowej rozstrzygającą jest główna część składowa pola naftowego.

Przy ocenieniu dopuszczalności podania o utworzenie wykazu hipotecznego pola naftowego, uwzględnić należy w każdym razie uprawnienia górnicze, w myśl ustawy górniczej na odnośnych gruntach już nadane, a w § 1. ustawy państwowej z dnia 11. maja 1884. w mocy utrzymane. Sądom powołanym do prowadzenia ksiąg naftowych udzielony zostanie urzędowy spis znajdujących się w ich okręgu uprawnień tego rodzaju wraz z opisem ich położenia i należącym do tego szkicem sytuacyjnym, który to spis zostanie do księgi naftowej włączony.

Karta księgi naftowej składać się będzie z dwóch działów. Z działów tych pierwszy przeznaczony jest do wpisania pola naftowego i do oznaczenia jego położenia miejscowego odnośnie do karty sytuacyjnej oraz do wpisania przynależności (budowli pomocniczych, budynków na powierzchni i t. d.). Jeżeli pole naftowe oddzielone zostaje od nieruchomości wciągniętej do księgi gruntowej, co do której nie upłynęły jeszcze terminy edyktalne w postępowaniu dla sprostowania prowadzonem, to Sąd wpisać ma terminy edyktalne w pierwszym dziale karty. Po upływie terminów edyktalnych uwaga ta ma być z urzędu wykreśloną. W drugim dziale karty wpisane być mają służebności górnicze, połączone jako prawo z polem naftowem. Oba działy karty pola naftowego znajdować się mogą według potrzeby na osobnych kartach, albo po obu stronicach jednej i tej samej karty.

Dalsze postanowienia rozporządzenia ministeryalnego obejmują już tylko szczegóły i wskazówki biurowego znaczenia i dlatego pomijamy je tutaj. Przy końcu postanawia rozporządzenie, że o ile ono nie zawiera odmiennych przepisów, postanowienia wydanej rozporządzeniem Ministerstwa sprawiedliwości z dnia 12. stycznia 1872 r. instrukcyi wykonawczej do powszechnej ustawy o księgach gruntowych, mają być zgodnie z jej duchem zastosowane do prowadzenia ksiąg naftowych.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.